



ZOFIA URBANOWSKA

Gucio zaczarowany


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ZOFIA URBANOWSKA

Gucio zaczarowany

I. KTO JEST GUCIO I DLACZEGO SIĘ NUDZI

Guciovi H. nic nie brakowało do szczęścia, a jednak, dziwna rzecz, nie był szczęśliwy! Miał ojca zamożnego, cieszącego się powszechnym szacunkiem, mateczkę piękną i dobrą jak anioł, siostrzyczkę nieumiejącą mu nic odmówić, o cokolwiek by ją poprosił. Miał dużo pięknych książek z obrazkami; fuzję¹, która chociaż nie mogła zabić nikogo, ale gdy na nią nakładał kapiszony, strzelała z wielkim hukiem i dymem; a co najważniejsza, miał ślicznego żywego kucyka maści siwo-jabłkowitej, którego zazdro-

¹fuzja — strzelba. [przypis edytorski]

ścili mu wszyscy chłopcy z sąsiedztwa. Ojciec darował mu nowiutkie angielskie siodełko na imieniny, a siostra uszyła wspaniałą czerwony czaprak², z cyframi³ solenizanta na rogach. Miał... ach, i wyliczyć trudno, co miał ten chłopiec, istny pieścuch losu; a jednak, mimo to wszystko ładna jego twarzączka często bywała oszpecona wyrazem znudzenia, a usta o mało się nie podarły od ustawicznego ziewania.

Począwszy od rodziców, a skończywszy na służbie, wszyscy mu dogadzali; za ledwie objawił jakieś życzenie, już przemyślano, jak by je zaspokoić, jak by mu sprawić niespodziankę. Doszło do tego, że nareszcie sam nie wiedział, czego pragnąć, posiadał bowiem wszystko, czego chłopiec w jego wieku mógł potrzebować, a nawet więcej jeszcze.

Wrażliwy z natury, każdą niespodziankę przyjmował z objawami szalonej radości — ale to krótko trwało; przestając być nowością, prze-

²*czaprak* — podkładka pod siodło chroniąca konia przed otarciami. [przypis edytorski]

³*cyfry* (daw.) — tu: inicjały; pierwsze litery imienia i nazwiska. [przypis edytorski]

stawiała go jednocześnie zajmować. Książki, choćby najciekawszej, nie przeczytał nigdy całej; zajrzał na początek, na koniec, przeczytał kilka kartek ze środka, pooglądał obrazki i rzucał. Tak było ze wszystkim.

Dlaczego tak było, ja się trochę domyślam: oto dlatego, że Guccio miał wszystkiego za dużo i że nie lubił nic robić. Był próżniaczkiem. Zabawa jest stokroć przyjemniejsza, gdy następuje po pracy — a nasz przyjaciel unikał wszystkiego, co było z trudem połączone.

Niejeden z czytelników pewnie przypisze winę za to państwu H. i zgani im zbyt dużą słabość⁴ dla syna. Ale ja, co znam ich od dawna, i wiem, że gdy Guccio był jeszcze bardzo mały, stracili jednego dnia od razu dwóch chłopczyków na zaraźliwą chorobę, nie mogli ich potępić za to, że nie umieli zakreślić granic swemu przywiązaniu i troskliwości o ostatniego, jaki im pozostał — zwłaszcza że wątła, delikatna budowa chłopca trzymała ich w ciągłej obawie o jego zdrowie.

⁴*zгани im zbyt dużą słabość* — dziś: zgani ich za (...). [przypis edytorski]

Zdolności Guciowi nie brakowało: bystry był, pojętny, ale miał nieprzezwyjęzony wstręt do nauki, która, jak każda praca, musiała być połączona z pewnym trudem. Bywało, na przykład, że panna Anna, nauczycielka, wykladała mu coś i dobiera wyrazów jak najprzystępniej malujących przedmiot; a on te wyrazy jednym uchem wpuszcza, a drugim wypuszcza i tylko myśli o tym, że białe gołębie jego przyjaciela Janka są ładniejsze od jego szarych gołębi, i że musi się z nim pomieniać⁵ — albo, jak by też wyglądał jego kucyk, gdyby mu ogon zawiązać w papiloty, a na łeb włożyć pasterski kapeluszek Helusi. Toteż gdy panna Anna każe mu powtórzyć to, co słyszał, powtarza tylko słowo w słowo, co mu siostra z litości podpowie; albo jeżeli mu przypadkiem tej dobroczynnej pomocy zabraknie, odpowiada piąte przez dziesiąte i miesza wszystko razem, niby bigos hultajski.

Panna Anna, osoba bardzo dobra i szczerze do obojga dzieci przywiązana, napominała

⁵*pomieniać* (daw.) — zamienić. [przypis edytorski]

go łagodnie raz, drugi, trzeci, ale gdy to nie skutkowało, szła do mamy. Gucio kochał swoją mateczkę nad wszystko w świecie i nie było dla niego sroższej kary, jak widzieć ją zmartwioną — toteż taka narada z panną Anną, odbywająca się przy drzwiach zamkniętych, budziła w nim zwykle wszystkie głosy sumienia. Z bijącym sercem patrzył z drugiego pokoju w te drzwi; a gdy nareszcie otworzyły się i mama wezwawszy go do siebie wyrzucała mu jego niedbalstwo, tak ją przeproszał i całował po rękach, tak płakał, tak gorąco obiecywał poprawę, że dobra mateczka zawsze przebaczyła, uściskała synka, a co najważniejsze, uwierzyła w jego przyrzeczenia.

A jak tu było nie wierzyć, kiedy słowa Gucia tchnęły taką prawdą, a na twarzyczce malowało się zmartwienie tak głębokie, że aż żal było patrzeć! Czy jednak dotrzymywał tych przyrzeczeń? Niestety! Łatwiej jest obiecać niż dotrzymać. Miał on dobre serce, kochał rodziców i siostrzyczkę i gotów byłby w każdej chwili skoczyć dla nich w ogień lub w wodę, choć-

by go to życie miało kosztować — tak mu się przynajmniej zdawało — ale... popracować nad czymś, przełamać swoje lenistwo, tego nikt na nim nie wymógł. Może to komu dziwne się wyda, że ofiara z życia łatwiejsza zdawała się Guciovi niż na przykład nauczenie się tabliczki mnożenia — a jednak tak było; bo dla poświęcenia życia wystarcza nieraz jedna chwila, a tabliczki mnożenia trzeba się uczyć kilka dni pilnie i z uwagą, na takie zaś bohaterstwo trudno mu się było zdobyć. Miewał on tysiące pięknych zamiarów, silnych postanowień — ale wszystkie, których natychmiast nie można było wykonać, kończyły się na niczym, bo mu brakowało wytrwałości.

Gucio wiedział o tej wadzie swego charakteru i nieraz przy wieczornym pacierzu dawał sobie słowo, że „od jutra rana będzie inny”. Gdy przyszło owo „jutro”, wstawał rano, ubierał się spieszenie, zasiadał do książki, i... żał mi powiedzieć, ale muszę, bo prawda przede wszystkim — zanim nadeszło południe, zaczął zagłuszać w sobie głos sumienia i prosić je o pobła-

żanie „na dziś tylko jeszcze, bo od jutra niezawodnie już poprawę rozpocznie”.

Po takim oszukaniu samego siebie uczuwał zawsze trochę wstydu przed sobą, ale uspokajała go myśl, że „jutro z pewnością już będzie inaczej” — i cieszył się zawczasu radością, jaką sprawi mateczce. Nazajutrz jednak najczęściej znalazła się jakaś przeszkoda albo goście do niego przyjechali i poprawa znowu się odkładała. Czasem, jeżeli to był piątek, wybierał na tę poprawę poniedziałek, bo zdaniem jego, w sobotę, jako w ostatni dzień tygodnia, zaczynać nie było warto. Tak mijały dni, tygodnie i miesiące...

Ojciec, zajęty od rana do wieczora gospodarstwem, nie mieszał się wprawdzie do nauki syna, ale widział zło i przypisywał je temu, że wychowanie Gucia spoczywało przeważnie w rękach nazbyt łagodnych kobiet; że zaś sam zająć się nim nie miał czasu, więc niejednokrotnie już chciał do domu sprowadzić jakiegoś zdolnego, wymagającego a surowego nauczyciela. Ale Gucio, ilekroć kazano mu dłużej

siedzieć przy książce, narzekał zaraz na głowę; więc matka obawiając się, aby nauczyciel nie męczył nadto jej jedynaka i żeby wskutek tego nie ucierpiało jego zdrowie, wypraszała u męża zwłokę na czas jakiś jeszcze, dopóki Guccio trochę nie podrośnie i nie nabierze zdrowszej cery.

Służba tak męska jak żeńska bardzo lubiła panicza. Jak go tu nie było lubić, kiedy był dla wszystkich grzeczny, uprzejmy, a przy tym taki miły, taki przylepka! Jak go tu nie było lubić, kiedy dzielił się ze wszystkimi każdym przysmakiem otrzymanym od rodziców, a gdy dostał pieniądze od ojca, to póty go one niepokoiły w kieszeni, póki wszystkich nie rozdał! Jak go nie było lubić, kiedy powierzchownością swoją, nad wyraz wdzięczną, pociągał oczy wszystkich! Jego wielkie błękitne oczy pełne były blasku i życia; włosy jasne, ze złocistym połyskiem, w gęstych zwojach spadały mu na ramiona, a delikatna, przezroczystej białości twarzyczka przypominała twarze aniołków z obrazów sławnych malarzy.

Gucio nie był dumny ze swej piękności, choć o niej wiedział; przeciwnie, gniewało go to, gdy starsi unosząc się nad nią mówili, że wygląda jak panienka — gardził bowiem wszystkim, co było rodzaju żeńskiego, nazywając to „babami”. Jedna tylko mateczka w przekonaniu jego nie była „babą”, ale istotą wyższą nad wszystko, świętością. Wiele byłby dał za to, żeby mieć cerę ogorzałą jak ojciec i pod nosem coś na kształt wąsów, ale niestety! To coś nie pokazywało się, chociaż był już przecież mężczyzną, miał ósmy rok!

II. GUCIO OBCHODZI SWOJE IMIENINY

Imieniny Gucia obchodzono zawsze uroczyście: zjeżdżali się wszyscy chłopcy z sąsiedztwa i bawili w przeróżne gry, a pani H. wyprawiała im suty podwieczorek na świeżym powietrzu. Uprzejmość gospodyni domu, jej gościnność i umiejętność przygotowywania różnych miłych niespodzianek znana była powszechnie —

toteż mali przyjaciele Gucia oczekiwali zawsze z niecierpliwością zaproszenia, a otrzymawszy je, nie posiadali się z radości.

Od rana już kucharka Jędrzejowa, wielka w swoim zawodzie mistrzyni, upiekła ogromny placek z wiśniami i aż dwa półmiski wybornych kruchych ciastek, za którymi chłopcy przepadali — a teraz, chociaż dopiero południe mi-
nęło, spieszy się z nadziewaniami kurcząt, jakby ją kto popędzał, i woła na gospodynię o śmietanę, a na ogrodnika o sałatę i szparagi; słysząc tłuczenie, siekanie, brząkanie, a po całym domu rozchodzą się zapachy, od których pies i kot kręcą ogonami i tak uparcie pilnują kuchni, że ani sposób ich wypędzić⁶.

Gucio jest wszędzie: w pokoju, na dworze, w kuchni — ale nigdzie nie siedzi dłużej niż kilka minut; był i znowu go nie ma. Jest w nim coś, co mu nie daje usiedzieć na miejscu, jakaś siła popychająca go gdzieś, do czegoś, którą on czuje, ale nad którą się nie zastanawia, i to

⁶*pies i kot kręcą ogonami (...) ich wypędzić* — dziś popr.: (...) je wypędzić.
[przypis edytorski]

nie tylko dziś, ale zawsze. To coś niewytłumaczonego, ta siła popychająca istnieje w duszy każdego człowieka, czy to małego czy dużego: jest to wrodzony nam popęd do działania, który, jeżeli skierujemy do poważnej, użytecznej pracy, przynosi nam spokój i zadowolenie — w przeciwnym razie budzi w nas ciągły niepokój, pragnienie i szukanie nie wiadomo czego, czyli jednym słowem, nudę. Życie ludzkie jest jak ów potok spadający z góry gwałtownie: jeżeli ujmemy go w karby, to płynąc spokojnie użyźnia brzegi i poi spragnionych — a puszczony samopas niszczy pracę rolnika i sam ginie, brudząc się ziemią, którą poobrywał.

Helusia przygotowywała właśnie w jadalnym pokoju owoce dla spodziewanych gości, gdy wszedł Guccio, i rzuciwszy się na fotel z biegunami, zaczął się gwałtownie kołysać.

Helusia była zupełnie inna niż braciszek, tak pod względem powierzchowności jak i charakteru. Starsza od niego o lat parę i nad wiek wyrosła, wyglądała zdrowo i jędrnie i nie chorowała nigdy. Była może zbyt tęga i zbyt ru-

miana jak na dziewczynkę; toteż ruchy jej, choć zręczne, ani w połowie nawet nie miały w sobie tej lekkości i wdzięku, jakimi odznaczało się każde poruszenie Gucia. Twarzyczkę miała okrągłą, sympatyczną, oczy podobne do oczu brata, spoglądające pogodnie, i dwa duże płowe warkocze spadające na plecy. Helusia była o tyle poważna, o ile Gucio żywy i roztargniony, a naukę lubiła o tyle, o ile on jej nie cierpiał. On rzadko kiedy pamiętał o czymś więcej prócz własnych przyjemności, nad których wynajdywaniem ciągle się mozolił; a ona pamiętała o wszystkim i o wszystkich, tylko o sobie zapominała. Ona gotowa była zawsze innym służyć, a on ustawicznie czegoś od każdego żądał, wszystkich chciał mieć na swoje usługi i, mimo dobrego serca, jakie miał, był w gruncie samolubem.

Helusię ojciec zwykle nazywał małą gospo-
sią — lubiła bowiem bardzo krzątać się oko-
ło gospodarstwa i najszcześliwsza się czuła, gdy
mogła w czym wyręczyć mateczkę. I teraz oto
stojąc przed kilkoma koszykami, które jej przy-

niósł ogrodnik Maciej, wyjmowała z nich porzeczki, poziomki, maliny, czereśnie i układała w mniejsze płaskie koszyczki, wyłożone winnymi liśćmi.

Gdy Guccio się zjawił, wybrała kilka najpiękniejszych rubinowych malin i, ułożywszy je na okazałym liściu jak na talerzyku, podała mu, dygając przy tym z przesadną grzecznością.

— Dobra z ciebie siostrzyczka — rzekł chłopiec, zatapiając białe zębki w soczystych owocach — co za szkoda, że jesteś „babą”! Ale wiesz co, te chłopaki coś długo nie przyjeżdżają! Chciałbym, żeby tu już byli. Maciej obiecał mi naciąć ze dwadzieścia długich lasek trzciniowych; zabawimy się w bitwę. Janek będzie dowodził jedną armią, a ja drugą. Zobaczysz, jaka śliczna będzie zabawa! A czy tylko moja panna siostra przygotowała dosyć konfitur dla żołnierzy, żeby się mieli czym pokrzepić po walce? Gdybym był mamą, to bym konfitury dawał codziennie na obiad zaraz po zupie, zamiast mięsa, a w miejsce nieznośnego rosółu, sok ma-

linowy. Wyborne maliny! Czy nie masz tam jeszcze więcej?

— A gdybym też ja dla tego wojska porobiła stosowane kapelusze⁷ z papieru, z wielkimi kitami, co? — spytała figlarnie, podając mu owoce.

Gucio się aż zaczerwienił z radości.

— Zrobisz to dla nas, doprawdy! I kity będą się chwiały za każdym poruszeniem? Cóż to za wspaniałe byłby widok! Moja złota, dobra, kochana siostrzyczko, doprawdy, tyś warta być chłopakiem!

Rzucił jej się na szyję i obsypywał ją gorącymi pocałunkami.

„Ze stosowany kapelusz dużo dodaje męstwa żołnierzowi, temu nikt nie zaprzeczy — myślał Guccio, chodząc wielkimi krokami po pokoju — gdyby tak jeszcze mina dziarska, wąs potężny!...”

Zatrzymał się przed lustrem umieszczonym nad kominkiem i zaczął się sobie przypatry-

⁷*kapelusz stosowany* — *bikorn*, dwurożny kapelusz popularny w XVIII i XIX wieku w Europie i Ameryce Północnej, noszony m.in. przez oficerów wojska Napoleona Bonaparte. [przypis edytorski]

wać. Niestety, twarzyczka jego nie miała nic wspólnego z twarzą żołnierza, a piękne niebieskie marynarskie ubranie i szeroki kołnierz od koszuli jeszcze więcej uwydatniały jej delikatność. Spróbował postawić marsa⁸ jednego, drugiego, ale to nic nie pomogło. Westchnął.

Z historii panowania Jana III najwięcej podobał mu się⁹ ustęp opisujący spotkanie tego króla z cesarzem austriackim, po zwycięstwie nad Turkami pod Wiedniem. Wiadomo, że żaden z monarchów nie chciał drugiemu pierwszy się ukłonić i długą chwilę stali na koniach, patrząc na siebie w milczeniu. Król polski mimowolnie podniósł rękę do wąsa, co cesarz mylnie wzięwszy za chęć oddania mu ukłonu, z pośpiechem odkrył przed nim głowę. Jak to ładnie śpiewały Niemki, gdy wjeżdżał do ocalonego miasta:

Oto bohater, co Wiedeń zbawił.
Jakże mu pięknie z tymi wąsami!

⁸*postawić marsa* — zrobić marsową tj. surową minę. [przypis edytorski]

⁹*najwięcej podobał mu się* — dziś: najbardziej podobał się. [przypis edytorski]

„Szczęśliwi ci, którzy mają co podkrecać” — myślał sobie Guccio. On nie miał nic podobnego, chociaż czynił niemałe wysilenia, żeby choć kilka włosków wyciągnąć.

Melancholiczne te rozmyślenia przerwał trzask z bicza. Guccio poskoczył do okna i zobaczył dwie bryczki wjeżdżające na dziedziniec, a tam dalej na grobli widać było jeszcze dwa drobne czarne punkciki, zbliżające się w tumanie kurzawy.

Wybiegł na ganek na powitanie swoich gości i zanim jeszcze zdążyli się rozebrać, już wiedzieli o laskach z trzciny i stosowanych kapeluszach, a nawet o konfiturach, placku z wiśniami i owocach.

Mamże¹⁰ opisywać, jak się chłopcy bawili? Nie, to się opisać nie da, chyba wyśpiewać w pieśni ułożonej umyślnie na ich cześć. Aż się serce śmiało na widok waleczności i męstwa tych dzielnych wojowników! Nikt się nie chciał poddawać, przenosząc śmierć zaszczytną

¹⁰*mamże* — konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy mam. [przypis edytorski]

nad niewolę — a w przeważeniu zwycięstwa na tę lub ową stronę wielka była trudność, bo polegli zmartwychwstawali i na nowo walczyli w szeregach.

Starsi przypatrywali się bitwie odbywającej się na ogromnym trawniku i przyklaskiwali walczącym, co podniecało jeszcze ich zapłał. Gucio okazał zdolności dzielnego dowódcy; wszędzie pierwszy, narażał się na największy ogień i z pogardą patrzył na kule papierowe padające dokoła niego jak grad. Nieustraszość ta nawet na przeciwnikach czyniła wrażenie — i gdy nareszcie niespodzianym, zręcznym wykonanym obrotem udało mu się otoczyć i rozbroić wodza nieprzyjacielskiego, oba wojska zaczęły wydawać na jego cześć zapalczywe okrzyki.

Gucio w swoim stosowanym kapeluszu, ozdobionym niebieską kokardą, którą sobie wyprosił u matki, z kitą z drobno strzyżonego papieru, powiewającą wspaniale z wiatrem, z twarzą rozpłomienioną i oczyma błyszczącymi zapłałem wyglądał jak rycerz z bajki — i jak ry-

cerz z bajki ugiął kolano przed swoją mateczką, a ona młodemu zwycięzcy włożyła wieniec dębowy na skronie. Zabrzmiały znowu okrzyki; ale młody bohater, syt sławy, zmusił wojsko do wiwatów na cześć mateczki, którą sobie wybrał za damę swoich myśli. Wołano więc: „niech żyje!”, podnosząc w górę kapelusze, a echa powtarzały: „niech żyje! niech żyje!”. Okrzyki te wzmogły się jeszcze, gdy wszyscy żołnierze ozdobieni zostali wspaniałymi orderami, przygotowanymi zawczasu przez panią H. i Helusię ze złotego i srebrnego papieru. Jak mateczka ścisnęła i całowała swego synka, jak się cieszyła z jego tryumfów, zrozumie każdy, kto ma matkę.

Podczas gdy służba ustawiała stoły na pobojowisku i nakrywała je do podwieczorku,

Wsparci na mieczach wojownicy stali
I o wypadkach bitwy rozmawiali.

Marsz przez dziedziniec do stołów był prawdziwym pochodem tryumfalnym. Najprzód szedł

dobosz i drewnianą pałeczką bębnił w okazały czerwony bęben; za nim szli trębacze, trąbiąc na trąbach utworzonych naprędce z dziesięciu palców. Dalej postępował Gucio w wieńcu dębowym, a za nim wojsko z podniesionymi trzcinowymi karabinami. Przypatrywała się temu cała orkiestra skrzydlata: wróble, wilgi, szczygły, sikory, i wyśpiewywały fanfary na cześć walecznych rycerzy.

Gdy nareszcie wojsko przypuściło atak do półmisków, nic nie oparło się młodzieńczemu apetytowi — wszystko zostało zmiecione. Nie dawano pardonu ani pieczeni, ani sałacie, ani ciastkom, ani biednym kurczakom, z których każdy, trzymając pod jednym skrzydełkiem swoją wątróbkę, a pod drugim żołądek, wyglądał tak, jakby chciał umknąć niepostrzeżenie na powrót do kurnika. Co było na placu, to się uważało za nieprzyjaciela. Puchary napełnione obficie wodą z sokiem porzeczkowym, malinowym i cytrynowym krążyły gęsto, dowodząc, że „kto dobry do wybitki, ten dobry i do wypitki” — a za każdym wzniesionym toastem

Janek, przyjaciel Gucia, strzelał z jego fuzji, co wywoływało głośny zachwyty biesiadników.

III. GUCIA SPOTYKAJĄ AŻ DWIE NIESPODZIANKI

Gdy chłopcy przypuszczali ostatni szturm do koszyków z owocami, dały się słyszeć jakieś szczególne, z bliskiego lasu płynące dźwięki, podobne do odgłosu rogu myśliwskiego albo trąbki pocztowej. Spoglądano po sobie pytająco, ale nikt nie mógł odgadnąć, co by to znaczyło; nawet państwo H. nie wiedzieli, co myśleć — nikogo bowiem więcej nie spodziewano się tego dnia. Wszyscy zbliżyli się do sztachet, przez które widać było biały, piaszczysty pas drogi wychodzącej z lasu i przerywanej złociste łąny zboża. Jakoż wkrótce trąbka odezwała się wyraźniej, głośniejsze, a z lasu wysunął się duży pakowny powóz, zaprzężony w cztery dobre konie.

— Ojciec! Ojciec! — zawołała pani H., tknięta radosnym przeczuciem, i wybiegła na drogę,

a za nią pan H., Helusia, Gucio, panna Anna i służba.

Chłopiec nie posiadał się z radości. A więc dziadek, którego rzadko widywał, a o którym mateczka mówiła mu zawsze z uwielbieniem, przybywał nareszcie ich odwiedzić — co za niespodzianka! Przybywał w dzień imienin wnuka, a więc jakby dla niego — co za szczęście!

— Jak się macie, moje dzieci, jak się macie — mówił starzec, wysiadając ostrożnie, z powodu swej nogi drewnianej, przy pomocy pana H. i jakiegoś młodzieńca przyjemnej powierzchowności, który z nim przyjechał. — Chciałem jeszcze raz odwiedzić was przed śmiercią, zobaczyć, jak tu żyjecie i jak mi wychowujecie wnuki. Przedstawiam wam pana Czesława T., który świeżo pozyskał stopień doktora filozofii w uniwersytecie krakowskim i zamierza poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu. Zaczny młodzieniec; jak go poznacie, pokochacie go niezawodnie.

Córka tuliła się ojcu do piersi, dzieci całowały ręce, służba cisnęła się do kolan. Sta-

rzec wszystkich witał serdecznie i obejmował — najtkliwiej zaś i z widocznym wzruszeniem głaskał jasne główki dzieci.

Państwo H. chcieli ojca prowadzić do pokoju, ale oparł się temu mówiąc, że grzechem byłoby siedzieć między czterema ścianami, gdy Pan Bóg dał dzień tak piękny. Przyniesiono więc z pokoju wygodne krzesło z poręczami i postawiono na ganku.

Piękna była postać tego dziadka: oczy niebieskie, pomimo siedemdziesięciu lat wieku pełne jeszcze życia, patrzyły na świat pogodnie; włosy i wąsy białe jak mleko odbijały od twarzy czerstwej i rumianej, nieco pomarszczonej i pokiereszowanej bliznami. Ta na lewym policzku dostała mu się pod Wolą — a ta głęboka, w poprzek czoła, to pamiątka spod Stoczka. Miał on jeszcze jedną pamiątkę, a nosił ją od bitwy pod Grochowem¹¹ — była to właśnie owa noga drewniana, zastępująca miejsce prawdziwej. Mimo tych wszystkich pamiątek

¹¹ *Wola, Stoczek, Grochów* — miejsca bitew w czasie powstania listopadowego 1830–1831. [przypis edytorski]

starzec chodził prosto, trzymał się krzepko¹², a zasobami siły moralnej i fizycznej mógłby kilku młodych obdzielić.

Gucio znał od matki historię wszystkich tych pamiątek dziadka i uważał go za niedoścignętego niemal bohatera. Ze czcią patrzył w szlachetne oblicze będące obrazem dzielnego, niczym niedającego się przygnębić ducha. Uwielbiał żołnierską postawę dziadka, jego twarz ogorzałą i wąsy sążniste. Ach, co za wąsy!

— No, bębny¹³ — mówił starzec — chodźcie tu do mnie, tu, bliżej, niech wam się przypatrzę, bo to już dwa lata przeszło minęły, jak was nie widziałem. Asińdźka¹⁴, panno wnuczko, wyglądasz mi na dzielną dziewczynę; rumieńce są, ciała nie brak, oczy jasne, pogodne... a, i kluczyki za pasem. Dobrze, dobrze, kontent jestem z aśki: będzie z ciebie porządna kobieta. Ale waść¹⁵, panie wnuku, coś mi

¹²krzepko — mocno, silnie. [przypis edytorski]

¹³bębny (daw., żart.) — tu: dzieci. [przypis edytorski]

¹⁴asińdźka, aśka (daw.) — skrót od: waszmościanka, waszmość panna; starop. popularny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

¹⁵waść (daw.) — skrót od: waszmość; starop. pot. zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

się nie podobasz — mówił dziadek, patrząc bystro w twarz chłopca. — Hm, hm, w twarzy waszmości brak czegoś, czegoś co by dzielnego chłopca znamionowało. Do kata, wyglądasz mi na babę!

Gucio oblał się cały purpurą. Nie mogło być dlań większej obelgi nad to, co usłyszał. Łzy mu w oczach stanęły.

— A to co? — pytał dziadek, wskazując wieniec zdobiący głowę chłopca.

Mateczka wiedziała dobrze, jaką przykrość zrobiły Guciovi słowa dziadka, skorzystała z tego zapytania, żeby opowiedzieć rycerskie czyny swego syna. Starzec słuchając wypogadzał się stopniowo.

— Jest krew w chłopcu, jest — szepnął do siebie — trzeba go tylko porządnie wychować. No, no — rzekł głośno — nie płacz waść! Mam tu dla ciebie podarunek, a prawdę mówiąc, dwa podarunki, ale o drugim dowiesz się dopiero później. Będzie to dla waszmości niespodzianka. Tymczasem bierz to!

I włożył Guciówi w ręce mały srebrny zegarek, z łańcuszkiem misternie wyrobionym z tego samego kruszcu.

Chłopiec osłupiał. O tak wspaniałym подарunku nie marzył nawet. Zegarki udające, że chodzą, miewał nieraz; ale żeby mieć zegarek idący naprawdę, i to bez odpoczynku, taki sam, jakie mają dorośli panowie, tego się nie spodziewał! Co za wspaniały dar! Nie wierząc własnemu szczęściu, przykładał go kolejno to do jednego ucha, to do drugiego; zegarek szedł, nie stawał ani na chwilę: tyk, tyk, tyk. Ucałował gorąco ręce dziadka i pobiegł do towarzyszy, żeby się przed nimi pochwalić. Co to za przyjemność móc na przykład powiedzieć do kogoś: „Ciekawym, czy nasze zegarki równo idą?” — i wyjąć swój z kieszonki z pozorną obojętnością, dla porównania niby. Albo iść do kuchni mówiąc: „Spóźniacie się z obiadem, Jędrzejowa, patrzcie, już dwunasta” — i ukazać zegarek zdumionym oczom poczciwej kobiety! Teraz, gdy ma zegarek i widzi, jak czas płynie, poprawi się z pewnością; będzie siedział od go-

dziny do godziny przy książce i nie wstanie, żeby tam nie wiem co! Wyraźnie brakowało mu dotąd zegarka, żeby się uczył, jak należy. Tak, musi się poprawić, zacznie zaraz od jutra, i to dzięki zegarkowi. A mateczka, mateczka! Jaka będzie szczęśliwa!

Pod wpływem nowego wrażenia zapomniał zupełnie, że go tylko co¹⁶ przyrównano do „baby” i że miał jeszcze z tego powodu łzy w oczach.

Chłopcom, którzy zrazu byli świadkami przywitania gościa z domownikami, a potem powrócili do swoich owoców, oczy się zaświeciły na widok zegarka; wydzielali go sobie z rąk, aż Gucio wołał, żeby mu nie rozerwali łańcuszka. Każdy chciał go wziąć w rękę: każdy musiał potrzymać przy obu uszach, żeby się dowodnie przekonać, że idzie: tyk, tyk, tyk. Zachwyty był trudny do opisanego; najwięcej jednak oczarowany został zegarkiem przyjaciel serdeczny Gucia, Janek. Połowę życia oddałby bez wahania, byle mógł go choć jeden dzień ponosić.

¹⁶*tylko co* — przed chwilą. [przypis edytorski]

— Słuchaj, Guciu — rzekł odciągając go na bok — u nas jutro będą ryby łapać w Czarnym Stawie, wiesz, pod lasem. Poproszę twoją mamę, żeby ci pozwoliła jechać ze mną. Będziemy pływać łódką, łapać ryby, a jak nałapiemy, to sobie każemy usmażyć. Nasza Kulasińska paradnie¹⁷ smaży, powiadam ci, tylko palce oblizywać! Dam ci moją wędkę i tyle glist, ile tylko będziesz chciał; mam je naszykowane w dołku, w rowie. A ty mi za to pozwolisz na ten czas swojego zegarka, dobrze?

Łódką jeździć, ryby łapać, w to graj Gucio-
wi. U państwa H. gospodarstwa rybnego nie było, bo mały staw w ogrodzie, jedyny w całej wiosce, do połowy zarośnięty był sitowiem. Płynęła wprawdzie tuż za wioską rzeczka i Gucio jeździł po niej niegdyś łódką¹⁸, a nawet zdawało mu się, że umie wiosłować; ale od czasu, gdy stary Antoni, który jego i Helusię woził, umarł, ojciec nie pozwalał im już z nikim puszczać się na wodę. Niezmiernie się więc ucie-

¹⁷paradnie (daw., pot.) — doskonale. [przypis edytorski]

¹⁸jeździł (...) łódką — dziś: pływał łódką. [przypis edytorski]

szyl propozycją Janka, bo to obiecywało mu szereg ulubionych, a tak dawno niedoświadczanych rozrywek. Rzucił się przyjacielowi na szyję i wszystko przyobiecał.

Przyjemności, zaszczyty, dary i niespodzianki sypały się w tym dniu na naszego przyjaciela jak z rogu obfitości. Był szczęśliwy nad wszelki wyraz. Czy tylko mama pozwoli jechać z Jankiem? Pozwoli, pozwoli, czemu by nie miała pozwolić! Mama zawsze jest rada, gdy Guccio się zabawi. Tak. Ale... poprawa.... co z poprawą będzie?... Hm, to jakoś nieładnie... Ech, nauka nie ucieknie, a ryby drugi raz nieprędko łowić będą. Zresztą, to już jest prawie koniec miesiąca — czy nie lepiej zacząć poprawę od pierwszego? Wszystko już pójdzie regularnie, jak w zegarku. Ach, ten zegarek, jaki on śliczny!

Ale dziadek mówił o jakiejś drugiej niespodziance — co to może być? Co można ofiarować młodzieńcowi posiadającemu konia, siodło, fuzję i zegarek? Chyba frak! Tak, niezawodnie dziadek frak mu przywiózł, mały zgrab-

ny fraczek z cienkiego czarnego sukna, dostosowany do jego kształtów i wzrostu. Drogi, kochany dziadunio!

Nadzieja posiadania fraka wprawiała go w szal niemal. Wprawdzie nie słyszał jeszcze nigdy, żeby dzieci nosiły fraki; ale ojciec powtarzał zawsze, że „nie trzeba dzieci lekceważyć, bo to są mali ludzie”. Gucio więc był małym człowiekiem, nie dzieckiem, a jako taki, miał prawo do wszystkiego, co wolno ludziom dorosłym. To tylko dziewczęta są dziećmi — mężczyzna jest dojrzały już od urodzenia.

Widząc, że koledzy gorliwie jeszcze pracują nad opróżnieniem koszyków ze znajdujących się w nich owoców, pobiegł ku domowi, żeby stanąwszy dziadkowi przed oczami, przypomnieć o obiecanej niespodziance.

Wszyscy siedzieli na ganku, tak jak ich odchodząc zostawił, z tą różnicą, że stał tam teraz stół zastawiony obficie, a przed dziadkiem butelka omszałego wina i mała srebrna czarka. Na pozór żadnej innej zmiany nie było, jednakże wszyscy mieli twarze poważniejsze niż

poprzednio, a oczy pani H. były nawet trochę wilgotne, jakby od łez tylko co uronionych. Dziadek coś prawił przekonywająco, a wszyscy zdawali się z nim zgadzać. Gdy Gucio się zjawił, rozmowa urwała się nagle. Tknęło go jakieś niedobre przeczucie i stanął z pewną nieśmiałością na boku.

— Chodź no tu, chłopcze — odezwał się dziadek, popatrzywszy na niego uważnie — chodź, mówiliśmy właśnie o tobie.

Guciovi serce bić zaczęło.

— Dowiaduję się, że asan¹⁹ masz wstręt do książki i lubisz się tylko bawić, a o robocie ani dudu. Wiedziałem ja już o tym z listów twego ojca i zawczasu przygotowałem ci niespodziankę. Tak dłużej być nie może, bo wyrósłbyś na bałwana.

To mówiąc, wskazał na młodzieńca, który z nim przyjechał.

— Ten pan będzie tak łaskaw, że od jutrzejszego dnia rozpocznie z tobą naukę i zad-

¹⁹*asan* (daw.) — skrót od: waszmość pan; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

nych wymówek słuchać nie będzie. Panna Anna była dla wasana²⁰ za dobra, zwyczajnie jak kobieta; przejdiesz w męskie ręce. Trzeba wziąć się w kupę, mości panie! Za dwa lata musisz iść do szkół. Chłop duży, niedługo ojca przerośnie, a w głowie pustki. Słyszane rzeczy!

Gucio podczas całej tej mowy bladł coraz bardziej, aż w końcu stał się biały jak jego kołnierz od koszuli; a gdy się nareszcie skończyła, spojrzął kolejno po obecnych z wyrazem bezgranicznej rozpacz, jakby szukając dla siebie obrońcy przeciw tyranii dziadka. Ale wszyscy mieli na twarzach wyraz przyzwalający na zmianę mającą zajść w dotychczasowym życiu Gućia. Najdłużej zatrzymał wzrok na matce, lecz i u niej zobaczył ten sam wyraz, pomimo że jej oczy patrzyły na syna z miłością i współczuciem.

Wszyscy go więc odstąpili, nikt nie przemówił za nim ani jednego słowa! Był sam... sam jeden przeciwko wszystkim... Ach, to okrop-

²⁰*wasan* a. *asan* (daw.) — skrót od: waszmość pan; starop. pot. zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

nie! Gdzie tu nawet myśleć o wyjeździe z Jan-kiem! Więc jego dotychczasowa swoboda skończyła się bezpowrotnie... O, jakże był nieszczęśliwy!

— Chłopcze — rzekł dziadek, który go z oka nie spuszczał — pamiętaj o tym, że wszystko, co żyje na świecie, służy ku ogólnemu pożytkowi; chciałżebyś²¹ ty jeden być pasożytem korzystającym z darów boskich, a nie dawać nic nikomu w zamian? Czy nie wstyd ci takiej roli? Spójrzij dokoła siebie, wszyscy pracują: twój ojciec od świtu do nocy w polu, matka cały dzień przy igle i gospodarstwie, panna Anna z Helusią przy nauce, służba w pocie czoła zarabia na swój chleb; nawet ten pies, co tam siedzi uwiązany na łańcuchu, pełni obowiązki stróża podwórzowego. Ty jeden korzystasz z pracy wszystkich i nie starasz się o to, żeby się nauczyć być także dla drugich pożyteczny; ty jeden jesz darmo chleb... Czy ci nie wstyd?

²¹*chcialżebyś* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą *-że-*; znaczenie: czy chciałbyś. [przypis edytorski]

Krwawy rumieniec oblał twarz Gucia; łzy cisnęły mu się do oczu, ale wstrzymywał je mężnie, nie chcąc po raz drugi zasłużyć na nazwę „baby”. Stał w milczeniu czekając, aż dziadek skończy, i przypatrując się machinalnie to źdźbłom trawy rosnącej drobnymi kępami przy ścieżce, to kwiatom akacji sypiącym się za każdym poruszeniem gałęzi.

— Zaczarowałaś się asan, to dobrze! Widzę, że mój wnuk jeszcze nie stracony, bo ma wstyd. Jesteś człowiekiem, chłopcze; pamiętaj, że każdy człowiek ma obowiązki do spełnienia i aby je spełnić dobrze, musi się starać nabyć rozumu. Będziesz się więc asan uczył. A teraz możesz iść się bawić.

Pan Czesław wyraził nadzieję, iż wkrótce zostaną dobrymi przyjaciółmi i wyciągnął do Gucia rękę — ale chłopiec nie widział tego, czy też udał, że nie widzi, bo po żalości gniew go na pana Czesława ogarnął. Jak stał, tak się odwrócił i poszedł szybkim krokiem w ogród, chociaż mateczka, chcąc synka uściskać i pocieszyć, wołała na niego. Miał do niej żal głąbo-

ki, że nie stanęła po jego stronie, udał więc, że nie słyszy. Szedł w stronę zupełnie przeciwną od tej, w której znajdowali się jego towarzysze — i gdy drzewa zasłoniły go przed ich oczyma, gdy oddalił się od miejsca zabawy tak, że już nawet gwar ich głosów przestał go dochodzić, zatrzymał się i wybuchnął głośnym płaczem.

Była to pierwsza większa boleść w życiu Gu-
cia: bo choć się smucił serdecznie wówczas, gdy
dwóch jego braciszków w białych, kwiatami ozdo-
bionych trumienkach, wywieziono na cmen-
tarz — ale własne jego życie dotąd było nie-
przerwanym szeregiem zabaw i przyjemności
i myślał, że zawsze tak będzie. Tymczasem ze-
tknął się niespodzianie z przykrą rzeczywisto-
ścią. A taki był dzisiaj szczęśliwy!... Wygrał bi-
twę, dostał zegarek, cieszył się na zabawę u Jan-
ka, a nawet fraka się spodziewał. Wszystko pierz-
chło jak sen, i to w chwili kiedy miał takie do-
bre zamiary, gdy chciał poprawić się od pierw-
szego następnego miesiąca. Dlaczego nie po-
zwolono mu ich spełnić? Obrzydzono mu na-

ukę, a z nią i życie. Wszyscy się na niego uwzięli, żeby mu dokuczyć.

Ojca, siostrę i pannę Annę oskarżał o brak serca, dziadka o tyranię, matkę... O matce nie mógł nawet myśleć spokojnie; on ją tak kochał!...

Po napadzie żalu przyszedł napad złości. Wszystkie dobre uczucia opuściły Gucia, a wszystkie złe zaczęły wychodzić z kryjówek jego serca, w których były dotąd pochowane — a schowane najgłębiej samolubstwo wyszło na jaw w całej okazałości. Zapomniał o dobroci dziadka, o miłości rodziców, o zmartwieniach, jakich im ciągle przyczyniał — a tylko pamiętał o tym, że jemu sprawiono przykrość, że jego pokrzywdzono. Nawet rozsądek towarzyszący mu podczas przemowy dziadka, któremu, mimo wszystko, w duchu nie mógł zaprzeczyć słuszności, odstąpił go teraz, bo nazwał naukę „głupstwem umyślnie dla dręczenia ludzi wymyślonym”. Wołałby już pasać źrebięta na łące z chłopakami, niż się uczyć!

I mały złośnik, biegający podczas całej tej z sobą rozmowy wzdłuż i wszerz trawnika i rzucający się jak ten ptak, co chce rozerwać więzy pętające mu skrzydła, zaczął deptać jakieś niewinne żółte kwiateczki, wychylające się z trawy nieśmiało, z taką zawziętością, jakby to były książki, których nigdy naprawdę nie lubił, a które teraz zaczynał nienawidzić.

Po tym nieużytecznym wybuchu rzucił się na murawę, zmęczony płaczem i wrażeniami. Trawa w tym miejscu rosła bujniej niż gdzie indziej, do czego jej niezawodnie bliskie sąsiedztwo wody pomagało; puszysta była i miękka niby zielony kobierzec. Gucio wyciągnął się i, podłożywszy rękę pod głowę, patrzył przez łąki na ostatnie blaski zachodzącego słońca, na opary wychodzące z wody i rozpościerające się nad nią powoli niby przejrzysta gaza. Monotonne brzęczenie muszek i koników wodnych działało na niego usypiająco. Przymknął oczy, chcąc choć na chwilę zapomnieć o swoim nieszczęściu, ale przeszkadzała mu latająca uparcie koło

głowy mucha. Odpędził ją, a patrząc, jak swobodnie wzbiła się w powietrze, zawołał z żalem:

— To drobne, nieme stworzenie nawet szczęśliwsze jest ode mnie, bo nikt mu nie krępuje swobody, ani nie daje guwernerów²². Wolałbym być muchą, niż wieść takie nędzne życie! Co za szkoda, że czary, o jakich czytałem w *Bajarzu polskim*²³, nie istnieją! Nie ma na świecie wróżek ani ludzi przemienionych w zwierzęta, ani „czapek niewidek”, ani „butów siedmiomilowych”. Nic!

IV. GUCIO W JASKINI SMOKA

Zaledwie wymówił te słowa, z oparów unoszących się nad stawem wynurzyła się jakaś postać niewieścia²⁴ i zbliżała powoli ku niemu. Długa jej szata, czarna jak noc, mieniła się iskrami, a spod chustki pokrywającej głowę wymykały się siwe kosmyki włosów. Gdy się bardziej zbliżyła, Gucio zobaczył, że twarz miała mocno

²²*guwerner* — nauczyciel i wychowawca domowy. [przypis edytorski]

²³*Bajarz polski* — książka Antoniego Józefa Glińskiego (1817–1866), stanowiąca zbiór baśni i legend ludowych. [przypis edytorski]

²⁴*niewieści* — kobiety. [przypis edytorski]

pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów. Oczy patrzące znad tych okularów miały blask nadzwyczajny, a takie były przenikliwe, że widząc je skierowane na siebie, czuł ciarki przechodzące mu po ciele. Postać ta, stanąwszy przed nim, wyrzekła uroczystym głosem:

— Młodzieńcze! Wypowiedziałeś życzenie swoje w godzinie, w której ja i moje siostry wróżki chodzimy po świecie. Jest to godzina czarów... Życzenie twoje spełni się, zamieniam cię w muchę. Pozostaniesz nią dopóty, dopóki nie pokochasz pracy i nie staniesz się godzien być człowiekiem.

To powiedziawszy, dotknęła złotą laseczką jego czoła i zniknęła. Jak? Było to rzeczą niepojętą, bo ziemia się bynajmniej pod nią nie rozstąpiła; w powietrzu tylko słychać było jakieś dziwne szmery i świsty.

Gucio patrzył i słuchał przerażony, i nagle spostrzegł, że się z nim stało coś niezwykłego. Poczul się dziwnie lekki, tak lekki, że wietrzyk podnoszący się od strony stawu mógł go

był unieść. Spojrzał po sobie; jego piękne niebieskie ubranie gdzieś znikło; zastąpiło je jakieś ciało szare, czarno pręgowane i nakrapiane w czarne cętki; nos się przedłużył i przybrał formę misternej trąbki, węższej u góry a szerszej u dołu. Z grzbietu, którego ciemna barwa wpadała w odcień błękitnawy, wyrastały skrzydełka przezroczyste, pokryte tu i ówdzie drobnymi włoskami; a z piersi aż sześć nóg wyskoczyło. Słowem, wyglądał zupełnie jak mucha. Chciał dotknąć ręką czoła, żeby przekonać się, czy to nie sen, ale natychmiast cofnął ją ze wstrętem: nie miał już rąk, tylko łapki kosmate, cienkie jak niteczki!... Ach, gdyby na tym był koniec!... Ale on nawet oddychał inaczej; powietrze do jego płuc nie dostawało się, jak dawniej, ustami, ale przez małe otworki, znajdujące się tu i ówdzie między obrączkami ciała.

Naprawdę więc przestał być człowiekiem, a był tylko małym, drobnym owadkiem, którego nawet nikt nie dojrzy między listkami trawy?

Rozpacz go ogarnęła; zaczął wołać wróżkę i zaklinać ją świętymi słowami, żeby odwołała swoje czary; ale usiłowanie to stało się dla niego tylko nowym powodem przerażenia. Głosu ludzkiego nie było słychać w powietrzu, gdy wołał, a z piersi jego wychodziło tylko słabe brzęczenie!...

— Straciłem więc wszystko, wszystko! — mówił do siebie łkając — ojca, matkę, siostrę, dom! Bo choćbym do nich wrócił, nie poznają mnie nawet i gotowi zabić... Ach, czemuż wróżka, odbierając mi postać ludzką, nie odebrała mi zarazem pamięci! Ale pokutować w cieple muchy, być czymś tak małym, tak nieskończenie małym, a przy tym czuć i myśleć jak człowiek — co za męczarnia!... Ale co to jest? Las jakiś! Gdzie ja jestem? Czy mnie wróżka przeniosła w kraj nieznanany, czy co?

Zaczął się dokoła siebie rozglądać, a im więcej się patrzył, tym większe ogarniało go zdumienie. Drzewa otaczające go miały dziwne kształty, niepodobne w niczym do tych, jakie dotąd widywał, nie miały bowiem wcale koron

z gałęzi; z korzeni od razu wyrastały po dwa, trzy, cztery pnie i strzelały ku górze równo, prosto, na podobieństwo olbrzymich cienkich iglic lub wąskich sztywnych wstążek, a wierzchołki wszystkich były lekko pochylone. Za najlżejszym poruszeniem wiatru cały las chwiał się i ugiął tak bardzo, że aż prawie kładł się na ziemi.

Zdumienie Gucia było tak wielkie, że aż zagłuszyło na chwilę jego boleść; patrzył i usiłował zgadnąć, gdzie się znajduje: czy w dziewiczych lasach południowej Ameryki, o których czytał z panną Anną w ślicznych powieściach, opisujących przygody podróżników i myśliwych — czy może na jakiej wyspie Oceanu Spokojnego, nieznaney jeszcze podróżnikom, bo o takich drzewach, jakie tu widział, nie czytał jeszcze w żadnej książce.

Co zaś było najdziwniejsze, to że w szczególnym tym lesie nie widział wcale trawy ani mchu, a grunt, pokiereszowany cały rozpadlinami, pełen był niebezpiecznych przepaści i jam, w które bardzo łatwo można było wpaść. Utrud-

niały też przejście walające się wszędzie bryły kamieni i małe, przezroczyste jak szkło, błyszczące kamyki oraz całe pnie drzew leżące w poprzek jedne na drugich, na wpół już uschłe.

Ciekawość popychała Gucia w głąb tego lasu, ale nie wiedział, jak iść. Dotąd chodził zawsze na dwóch nogach, a teraz miał ich aż sześć... Dwie mogły mu wprawdzie zastąpić ręce, ale co zrobić z dwiema zbytecznymi? Próbował chodzić jak człowiek, ale przewracał się ciągle; podniósł więc jedną z gałęzi i zaczął się nią podpierać — lecz czuł, to nie mogło trwać długo, bo go za bardzo męczyło. Gdy się jest muchą, trzeba chodzić jak mucha. Powoli i z trudnością stąpał po tym gruncie niebezpiecznym, a cienkie jego nogi zaczepiały się ustawicznie o siatkę korzeni, którymi grunt był pokryty. Idąc, oglądał się i nasłuchiwał, czy nie usłyszy gdzie ryku lwa lub niedźwiedzia, albo nie ujrzy wyglądających z gęstwiny błyszczących oczu hieny. A może dzicy ludzie zamieszkują ten kraj i polują w tym lesie? Jeżeli go strzała którego

dosięgnie, zginie marnie z dala od swoich, nie uściskawszy nawet matki...

Biedny Gucio! Zapomniał, że dzicy nie dojrzeliby nawet takiej małej muszki.

Zapuszczając się w las coraz dalej, widział przesuające się z cichym, ledwie dosłyszalnym szmerem różne zwierzęta niepodobne w niczym do zwierząt drapieżnych, jakie widywał na obrazkach. Zwierząt tych było mnóstwo, dużych i małych, dążących w różne strony: jedne szły prędko, inne wolno, zaledwie się posuwając; inne jeszcze podskakiwały, do czego pomagały im skrzydła albo wysokie, zgięte mocno w kolanach nogi; inne na koniec wchodziły w rozpadliny i znikwały w nich bez śladu. Najwięcej uwagę jego zwracały²⁵ te, które swoją twardą, błyszczącą, do skorupy żółwia podobną powłoką sunęły po ziemi niby małe, ruchome domki.

Chwilami zdawało się Guciovi, że grunt, po którym stapał, ruszał się i unosił, i strach

²⁵najwięcej uwagę jego zwracały — dziś: najbardziej uwagę (...) zwracały. [przypis edytorski]

go brał niewypowiedziany, bo nie widział, jak to sobie tłumaczyć. Może to były oznaki trzęsienia ziemi, mającej lada chwila otworzyć się, zdruzgotać las i jego w gruzach zagrzebać!... Sama ta myśl mroziła mu krew w żyłach — ale wkrótce spostrzegł, że to, co brał za oznaki zbliżającego się trzęsienia ziemi, miało zupełnie inną przyczynę. Ziemia otwierała się wprawdzie dokoła niego w różnych miejscach, gdzie wprzód dawało się czuć drzenie; ale zamiast wulkanicznego ognia wychodziły z otworów jakieś niby zmije żółtawe, barwy cielistej, i pełzając znikwały w głębi lasu. Przełęczniony, drżący uciekał, a największym w tej chwili jego pragnieniem było pragnienie ukrycia się w jakim bezpiecznym schronieniu.

Nareszcie drzewa zaczęły się trochę przeredzać i Guccio miał nadzieję, że już niedługo wyjdzie na otwarte pole. Ale się zawiódł: las rozstał się tylko jakby dla zrobienia miejsca górze, której łagodne stoki niczym nie były porośnięte. Wyglądała ona tak, jakby ją ręka olbrzyma świeżo usypała lub jakby całą jej po-

wierzchnię przekopał świeżo rydel ogrodnika. Gucio jednakże nie zwrócił nawet na to uwagi: powodowany instynktem zachowawczym spostrzegł obszerny otwór, znajdujący się u stóp góry, i bez tchu prawie dopadł do niego, rad, że znalazł nareszcie dla siebie kryjówkę.

Gdy jednak po chwilowym wypoczynku przeminął przestraszony widokiem nieznanych zwierząt, bezpieczeństwo schronienia, jakie sobie wynalazł, wydało mu się cokolwiek wątpliwe.

— Kto wie, czy nie trafiłem do jaskini rozbójników — rzekł do siebie — ale do lasu nie wrócę za nic w świecie! Wolę być zabity przez zbójców, niż żywcem zjedzony przez dzikie zwierzęta. Zresztą, po co mieliby mnie zabijać, jeżeli nie mam przy sobie pieniędzy?

Ciekawość zwiedzenia jaskini przemogła wszystkie jego obawy. Trzymając się ściany, zaczął posuwać się w głąb ostrożnie. Panowała tam prawie zupełna ciemność: światło przez otwór wpadało tak słabe, że całe wnętrze pogrążone było w zmroku, i długa chwila minęła, zanim

oswoił się z nim i zaczął rozróżniać otaczające go przedmioty. Z jaskini wiódł w głąb szeroki, wygodny korytarz, którego ściany, zbudowane z mocno ubitej ziemi, podobne były do nierównego, chropowatego muru. Powodowany wzmagającą się ciekawością i ośmielony ciszą panującą w podziemiu zapuszczał się coraz dalej.

Po kilku minutach takiej drogi korytarz nagle się rozszerzył i Guccio posłyszał szmer dziwnego rodzaju, jakby kto drapał ziemię pazurami i odrzucał ją na stronę z nadzwyczajną regularnością. Mały nasz podróżny przystanął i zaczął przysłuchiwać się temu szmerowi, wstrzymując oddech.

Wtem ze sklepienia spadł kamyk, a łoskot sprawiony jego upadkiem rozległ się głośnym echem w podziemiu; wraz z kamykiem odpadło także trochę ziemi, wskutek czego zrobiła się w górze szczelina, a przez szczelinę przedarł się promyk światła dziennego. Guccio zobaczył teraz dużą pieczarę, a w niej potwora, którego sam widok przeraził go. Olbrzymie jego ciało

pokryte było ciemnobrunatnym aksamitnym futrem; ogon miał krótki, pysk zakończony długim ryjem. Oczu wcale nie było widać: potwór macał dokoła siebie ziemię ryjem jak ślepy.

Guciovi przypomniawszy się legenda o smoku niegdyś żyjącym w jaskini pod górą Wawel, w Krakowie; i zapomniawszy, że jest tylko muchą, począł żałować, że nie wziął z sobą barana wypchanego słomą i siarką, żeby jak drugi Krakus potwora zgładzić ze świata. Bohaterskie te myśli nie dodały mu jednak wcale odwagi.

Potwór kopał ciągle pazurami ziemię, jakby w niej czegoś szukając, i odrzucał ją łapami na boki i poza siebie. Zdawało się jednak, że poczuł, iż nie jest sam, bo przerwał robotę, podniósł łeb i zaczął węszyć.

— Spostrzegł mnie, zginąłem! — szepnął do siebie Gucio ledwie żywy — on mnie połknie!

Potwór musiał mieć bystry słuch, bo obróciwszy się ku niemu, gniewnie zamruczał.

— To ja — wyjąknął Gucio — przepraszam pana bardzo, panie smoku. Wszedłem tu

zupełnie przypadkiem... nie miałem zamiaru panu przeszkadzać. Bardzo przepraszam... ja stąd zaraz odejdę. Niech mnie pan nie połyka! Jestem mały i chudy... Mama powiada, że wyglądam jak chrabąszcz...

— A, a, człowiek pokutujący! — mruknął potwór do siebie. — Możesz być spokojny: nic by mi nie przyszło z twojej śmierci. Ja bardzo lubię chrabąszcze, ale ty wcale nie jesteś podobny do tego smacznego stworzenia; tyś taki mały, że choćbym cię zjadł, to bym nawet nie poczuł, jak smakujesz. Wreszcie dowiedz się, że cię nie wolno nikomu zabijać. Masz na sobie znak czarów, odróżniający cię od much zwyczajnych: czerwoną czapkę na głowie. Kto nosi takie znaki, temu ani broń, ani paszport w podróży niepotrzebne. Nikomu nie wolno jest wyrządzać krzywdy zaczarowanemu; przeciwnie, dawać pomoc, jeżeli jej potrzebuje, i udzielać objaśnień. Nie zgub tylko swojej czapki, bo wtedy byłaby ci wielka bieda, co chwila bowiem mógłbyś być narażony na niebezpieczeństwo utraty życia.

Gucio sięgnął łapką do głowy i przekonał się, że ma istotnie czerwoną czapeczkę, dającą się zdejmować, choć mocno do głowy przyczepioną; ciekawy był tylko, jak niewidomy smok mógł to widzieć. Nie był on jednak niewidomy. Gucio zobaczył to teraz, gdy potwór obrócił się ku niemu. Dwoje oczu maleńkich jak ziarnka maku błyszczało spośród sierści, w której były ukryte.

Świadomość, że znaki czarów bronią go od wszelkiego niebezpieczeństwa, w jednej chwili wlała w Gucia ogromne męstwo. Z odwagą, jakiej by się sam Krakus nie powstydział, zbliżył się do potwora i zapytał, czy on czasem nie jest potomkiem tego samego smoka, co mieszkał pod Wawelem i miał siedem głów.

Potwór roześmiał się na całe gardło, takim grubym głosem, że naszemu bohaterowi, pomimo mężnego usposobienia i czapki bezpieczeństwa, zrobiło się niemiło koło serca.

— Nie, mój chłopcze — odmruczał — nie pochodzę z tak wysokiego rodu. Nie jestem

wcale smokiem, za jakiego mnie bierzesz, ale skromnym, pospolitym kretem, pomocnikiem rolnika. Jesteś zdumiony tym odkryciem i dziwisz się, że krety są takie ogromne, ale przypomnij sobie, że jesteś muchą, małym, drobnym owadkiem i że przy twoim wzroście wszyscy więksi od ciebie wydają się olbrzymami. Założyłbym się, że trawę wziąłeś przez pomyłkę za las, a moje kretowisko za ogromną górę. Tak, mój chłopcze, jestem tylko kretem, skromnym robotnikiem podziemnym, nie większym od szczura.

Słowa te rozświeciły Guciowi w głowie. Zrozumiał teraz swoją omyłkę, która go takiego strachu nabawiła i niedawnego zwycięzcę, ozdobionego wieńcem dębowym za waleczność, zagnęła do dziury jak zająca. Wstyd mu było przed kretem i gniewał się na siebie za tchórzostwo i brak przytomności umysłu. Toteż chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot, zapytał:

— Powiadasz pan, że jesteś pomocnikiem rolnika; jakimże to dzieje się sposobem?

— Wykopuję z ziemi robaki podgryzające korzenie drzew i roślin. Ludzie narzekają wprawdzie czasem, że im szpecę ogrody mymi robotami, ale sami przyznają, że usługi, jakie im oddaję, są stokroć większe niż mniemane szkody.

— Czy się panu ta robota nie przykrzy? Jeżeli cię nikt nie pilnuje, to mógłbyś sobie często odpoczywać.

Kret popatrzył na niego surowo.

— Nikt nie pilnuje — odpowiedział — ale widzi mnie Bóg, którego oko przenika wszystkie skrytości. On nie przeciąża robotą żadnego stworzenia, ale przymierza ją do sił i zdolności każdego. Ja też pracuję, ile zdołam, a mądrość Stwórcy dała mi jeszcze, jako silniejszy do tego bodziec, ogromny apetyt. Zjadam tyle codziennie upolowanej zwierzyny, ile sam wążę. Wreszcie, jakież prawo miałbym korzystać z pożywienia, napoju, powietrza, mieszkania, gdybym też choć w części nie przykładał się do ogólnego pożytku? Kto nic nie robi, niewart żyć.

Już po raz drugi Guccio zawstydział się i zmieształ. Kret niechętny powiedział mu gorzką prawdę, a co więcej, okazał się wyższy od niego, człowieka. Ale że Guccio nie lubił prawdy, zwłaszcza jeżeli miała jakiś związek z pracą, więc znowu usiłował zwrócić rozmowę na co innego, zapytując kreta, czy ma żonę i dzieci.

— Ożeniłem się w tym roku — odrzekł — i mam aż ośmioro drobiazgu. Jeżeli chcesz, zapoznam cię z moją rodziną. Wiesz co! Nie znasz tych podziemi, więc błędziłbyś tylko po omacku. Siadaj na mnie, będziemy prędzej na miejscu.

Guccio odrzucił kij, który mu tylko przeszkadzał, i bez namysłu wskoczywszy na grzbiet zwierzęcia, powiedział sobie, że siedzenie jest miękkie i wygodne; żeby nie zlecieć, trzymał się mocno włosa. Niezwykła ta jazda bawiła go jak każda nowość.

Kret sunął szybko korytarzem w głąb; z powodu swoich krótkich nóg toczył się raczej jak kula, niż biegł, piersią dotykając ziemi. Od czasu do czasu przystawał, węszył i jeżeli blisko

gdzie zwiertzył pędraki, kopał z zapalem, zapominając o swoim jeźdźcu; zatrzymywał się też przy małych studzienkach pełnych zaskórnej wody, które sam pobudował w bliskości mieszkania, i gasił pragnienie. Po kwadransie takiej przerywanej jazdy przybyli nareszcie do miejsca i Guccio zeskoczył ze swego podjezdka²⁶.

Znajdowali się w kotlinie wysłanej starannie mchem, sianem i włóknistymi korzonkami. Na miękkim posłaniu siedziała poważnie pani krecina, a koło niej ruszały się niezgrabnie małe kreciaki, nie większe od ziarenek bobu.

— Moja żono — przemówił kret — przyprowadzam ci człowieka pokutującego, który pragnie zwiedzić nasze mieszkanie.

Guccio, zawsze pełen uprzejmości, zdjął czapkę i ukłonił się z wdziękiem, ale jejmość nie raczyła mu nawet kiwnąć głową, tylko od razu na niego napadła.

²⁶podjezdek — młody, dopiero ujeżdżany koń; tu: żart. użycie określenia.
[przypis edytorski]

— Cóżżeś to, chłopcze, przeszkrobał, co? No, przyznaj się.

— Mówmy o czym innym, łaskawa pani
— rzekł obrażony mocno tą niedelikatnością
— czy to jest jedyny pokój państwa?

— Ale gdzie tam — mruknął mąż, który jako troskliwy o wygodę domowników gospodarz, rad się był przed człowiekiem swymi urządzeniami pochwalić. — To dopiero sypialnia; tu obok jest salon wsparty na pochyłych nieco do środka kolumnach, a tam dalej spiżarnia pełna zapasów upolowanej zwierzyny. Znajdziesz w niej glisty, ślimaki, stonogi, a nawet i grubsze sztuki: kilka małych, tłustych myszek i jaszczurkę. Z tych pokoi trzy chodniki wiodą do wyjścia na zewnątrz, abyśmy w razie napadu nieprzyjaciela mogli sobie zapewnić odwrót, a te jeszcze są połączone z pięcioma innymi.

Gucio podziwiał sztuczną²⁷ budowę podziemnych sal, korytarzy, chodników i zaułków

²⁷*sztuczny* (daw.) — tu: kunsztowny; zbudowany zgodnie z regułami jakiejś sztuki. [przypis edytorski]

i dziwił się zmyślności kreta, umiejącego tak wszystko rozumnie obmyślić i urządzić.

— Chodnik, który widzisz na prawo, jest bardzo wygodny — mówił kret — i prowadzi pod drzewo znajdujące się niedaleko stawu. Jeżeli chcesz już wyjść na powierzchnię ziemi, to radzę ci wybrać tę właśnie drogę. Ja już dalej nie mogę ci towarzyszyć, bo kto wie, czy tam przy wyjściu nie czatują na mnie nieprzyjaciele kreciego rodu: pies, bocian albo kuna.

V. GUCIO ZAWIERA ZNAJOMOŚĆ Z WRÓBLAMI

Gucio podziękował kretowi za objaśnienia i, udawszy się we wskazanym kierunku, wydostał się wkrótce na świat. Znalazł się w tym samym lesie, z którego przed godziną uciekał; ale teraz wiedział już, że to jest tylko wysoka, bujna trawa — że dzikie zwierzęta, których się obawiał, to są robaczki i owady, a owe bryły kamieni to tylko drobne kryształki piasku. Po godzinnym przeszło przebywaniu pod ziemią czuł się te-

raz odurzony świeżym powietrzem i olśniony światłem dziennym, oślepiającym go prawie. Chwilę stał jak nieprzytomny, nareszcie przypomniał sobie, że ma skrzydła; poruszył nimi i uniósłszy się w górę, zatoczył kilka niezgrabnych kręgów i opadł na gałąź wspaniałego rozłożystego drzewa.

Ta pierwsza próba latania zmęczyła go; odpoczywając, patrzył z góry na ów las mniemany i myślał, że dawniej, gdy był jeszcze człowiekiem, nigdy nie przyszło mu do głowy przypatrywać się źdźbłom trawy ani zatroszczyć się o los tych drobnych istot, których milionami ziemia jest przepelniona. A jednak one żyją, a więc muszą mieć także swoje potrzeby, swoje cele, swoje radości i cierpienia!... Czy zastanowił się kiedy nad tym? Gdzie tam! Teraz dopiero, gdy widział życie kreta, przekonał się, że i od zwierząt nauczyć się czegoś można i że niesłusznie jest pogardzać mniejszymi od siebie. Wszakże on sam od paru godzin był tylko muchą!...

Rozmyślając nad swoim położeniem, powiedział sobie, że rozpaczać nie przyda się na nic. Najgorętsze łzy nie przywrócą mu dawnej postaci; sama tylko wola wróżki może to sprawić, a ona powiedziała mu, że będzie muchą, „dopóki nie pokocha pracy i przez to nie stanie się godzien być człowiekiem”. Jak do tego przyjdzie²⁸, nie pojmował zgoła, ale miał nadzieję, że jego niedola musi się kiedyś skończyć. Tymczasem ciekawość brała górę nad jego zmartwieniem: otwierał się przed nim świat niedostępny gołemu oku człowieka, świat tajemniczy, pełen tym większego uroku, że nieznanemu mu jeszcze. Już samo drzewo, na którym odpoczywał, było krajem cudów, zdolnym co chwila wywoływać okrzyki podziwu i zachwytu. Rosły na nim przepyszne mchy, miększe i puszystsze niż aksamit; rosły grzyby najrozmaitszych barw i dziwaczne porosty przechodzące kształtami najśmielsze wytwory wyobraźni, a wszystko zamieszkałe przez istoty bę-

²⁸*jak do tego przyjdzie* — dziś: jak do tego dojdzie. [przypis edytorski]

dące w ustawicznym ruchu. Snadź²⁹ drobne to społeczeństwo mnogie miało sprawy i interesa³⁰.

Tak przypatrując się, dziwiąc i zatrzymując co chwila, Gucio przechodził z gałęzi na gałąź, dążąc coraz wyżej i coraz nowe czyniąc odkrycia; idąc, żałował, że przyjaciel jego Janek ani siostrzyczka Helusia nie mogli tego widzieć. Kiedyś, gdy pokuta jego się skończy, a wróżka przywróci mu ludzką postać, opowie im wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, ale czy będą chcieli mu wierzyć? Dziwiło to Gucia bardzo, że wszystko teraz widział lepiej, dokładniej niż wtedy, gdy był człowiekiem, jakby mu kto włożył okulary ze szkłem bardzo powiększającym. Nie okulary to jednak nosił Gucio, ale oczy miał inne, oczy muchy, składające się z ogromnej liczby małych sześciennych oczek, i one to widziały wszystko z taką nadzwyczajną dokładnością. Nie wiedział on o tym, jak również i o innych właściwościach wzroku owa-

²⁹*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

³⁰*interesa* — dziś popr. forma B.lm: interesy. [przypis edytorski]

dów, do których teraz należał. Wciąż się więc dziwił samemu sobie. I to go także zdumiewało, że chociaż szedł od spodu gałęzi, więc do góry nogami, to jednak nie spadał. Jego cienkie, delikatne stopy opatrzone były na końcach pazurkami czepiającymi się chropowatości kory, a znajdujące się między tymi pazurkami maleńkie, wilgotne poduszeczki przylegały do każdej powierzchni równie silnie jak pazurki. Gucio nie miał nóg tak urządzonych, gdy był w postaci człowieka; ale wiedział dobrze, że nie mógł wówczas chodzić po ścianie i po suficie, choć nigdy się nie zastanawiał, czemu nie może dokazać tego, co umie każdy prawie robaczek. Dopiero teraz chciał nad tym pomyśleć, tylko że w tej chwili nie miał czasu. Gdy mu wróżka przywróci ludzką postać, zapyta się o to mędrszych od siebie i będzie się pilnie dowiadywał o wszystkie szczegóły dotyczące jego ciała, równie jak ciała i życia wszelkich stworzeń żyjących.

Obecnie cienki, piskliwy świergot ptaszków, odzywający się z wierzchołka drzewa, zwró-

cił jego uwagę. Podążył w kierunku słyszanych głosów i wkrótce znalazł się przed ślicznym okrągłym gniazdeczkiem, zawieszonym między dwiema blisko siebie rosnącymi gałęziami. Siedmioro malutkich szarych łepków, odznaczających się wielką ruchliwością, wyglądało z gniazdka, jakby oczekując czegoś niecierpliwie, a tuż obok na gałęzce matka tego drobiazgu zajęta była wygarnianiem spod kory robaczków, bacząc przy tym pilnie na każdy ruch dzieci i za każdym niemal szelestem oglądając się i nasłuchując.

„Ciekawy jestem, czy te ptaszki mają jeszcze ojca, czy też pani wróblowa jest wdową” — myślał Gucio, przypatrując się z zajęciem całej rodzinie.

W tejże chwili przyleciał skądś stary wróbel, a w gniazdku powstał na jego widok ogromny ruch i gwar i jednocześnie wszystkie siedem dziobków otworzyło się szeroko. Przyniósł on widać w gardziołku niemały zapas ziarna uzbieranego, bo wszystkich nakarmił, po czym zajął się także wyszukiwaniem robaczków w spęka-

niach kory i oboje z żoną znosili je dzieciom, dopóki się nie nasyciły.

Gucio ciekawy, co też za istoty mogły żyć w tak ciasnych mieszkaniach jak szpary w korze, przysunął się trochę i usłyszał, jak pani wróblowa powiedziała do swego towarzysza:

— Patrz no, mężu, czy widzisz tę małą błękitną muszkę z gatunku mięśniaczków, co się wlecze jak kaleka? To jakieś niedołączne stworzenie, schwytajmy ją!

„Czyżby o mnie mówili?” — rzekł do siebie Guccio z pewną niespokojnością i dziwiąc się, że świergot ptaków był dla niego równie zrozumiały jak mruczenie kreta.

Wróbel popatrzył na niego uważnie i odrzekł:

— To nie jest mucha zwyczajna, tylko człowiek pokutujący. Czy nie widzisz, że ma czerwoną czapczkę na głowie?

— Ach, prawda! Niechże sobie żyje. Musi to być wielkie ładaco, kiedy wróżka przemieniła go w tak małego owada.

Gucio mocno dotknięty tym szorstkim, ale niestety trafnym określeniem swej moralnej wartości, szepnął z gniewem:

— Wszystkie baby są impertynentki³¹; wróblowa nie lepsza od kreciny.

Musiał się czegoś domyślać wróbelek, bo zbliżył się doń i zapytał ze współczuciem:

— Powiedz mi, biedny chłopczyku, kto jesteś i za co skazano cię na tak ciężką pokutę? Widuję nieraz młodzież w położeniu podobnym twojemu, ale bywają to motyle, koniki polne, pszczoły; muchę dopiero pierwszy raz spotykam. Musiałeś popełnić ciężką winę.

— Nie chciałem się uczyć — szepnął Gucio po chwilowym wahaniu się. — Powiedz mi pan, czy takie przemiany z ludźmi często się przytrafiają?

— Od czasu do czasu. Przed godziną właśnie odpoczywała tu u mnie mała księżniczka Joasia, przemieniona w pszczołę za niegrzeczne obchodzenie się ze służącymi. Służy ona teraz

³¹*impertynentka* — forma żeńska od *impertynent*: człowiek niegrzeczny [przypis edytorski]

u królowej pszczoł za popychadło i musi robić wszystko, co jej każą. Joasia jednak miała przy swoich wadach przynajmniej tę zaletę, że uczyła się dobrze. Teraz nie dziwię się, że wróżka tak surowy wydała na ciebie wyrok; próżniactwo bowiem jest jednym z najgorszych przestępstw i źródłem wszystkiego złego. Ale gdzie mieszkają twoi rodzice?

— Mój ojciec jest właścicielem tej wioski.

— Znam go, znam, bo go co dzień widuję. Pracowity człowiek! Od rana do wieczora w polu. Dziwna rzecz, że syn jego jest próżniakiem!

Słowa te bardzo obraziły Gucia i rozdrażniły. Wszyscy dziś prawili mu niegrzeczności.

— Mój panie — rzekł, podnosząc z godnością głowę mało co większą od dużego łepka szpilki — proszę mi nie ubliżać! Wyrzucasz mi pan moje lenistwo, choć sam nic nie robisz. Ptaszki przychodzą na świat już ubrane, a zboże zbierają nie orząc ani siejąc, zabierając po prostu cudzą własność. Całym waszym zajęciem jest latać w powietrzu i śpiewać!

— Mylisz się, chłopczyku, jeżeli naprawdę mniemasz, że ja i moi krewni wiemy żywot bez pracy — odparł wróbel poważnie. — Nie siejemy wprawdzie ani orzemy, ale tępimy szkodliwe dla rolnictwa owady i gąsienice. Bez naszej pomocy rolnicy nie zebraliby nawet połowy plonu, a lasy zmarniałyby ogołocone z liści. Widzę po tobie, że mi nie wierzysz: zaczekaj chwilkę, zaraz cię dowodnie przekonam.

To powiedziawszy, ptaszek zerwał dziobkiem liść jeden cały podziurawiony i położył przed Guciem.

— Patrzaj, co za straszne spustoszenie zrobiła tu gąsienica — powiedział — wygryzła wszystką zielenią ze środka, pozostawiwszy tylko nerwy. To już nie liść, to szkielet!

Gucio milczał zdziwiony, spoglądając kolejno to na wróbla, to na liść, na którym wiała się gąsienica, ściągając i rozciągając czarne pierścienie swego ciała, upstrzone tu i ówdzie białymi cętkami i kępkami ciemnożółtych włosów.

— Ta niszczycielka nazywa się pierścienica — rzekł wróbel — czy widziałeś ją kiedy?

— Widziałem — odrzekł Gucio — ale nie przypuszczałem, żeby pożerała liście.

— Liście są dla drzew tym samym, czym dla ludzi i zwierząt płuca — świergotał ptaszek dalej, podczas gdy pani wróblowa schwyciwszy gąsienicę i rozerwawszy na sztuki dawała je dzieciom do zjedzenia. — Drzewo nimi od-
dycha i czerpie z powietrza wilgoć, zasilającą cały jego organizm; gdy zatem płuc mu braknie, musi umierać na suchoty. Wypędź nas z tej pocziwej gruszki, rodzącej wyborne soczyste owoce, a zobaczysz, że w przyszłym roku ojciec twój każe ją ściąć na opał. Nie dość na tym: jajka pierścienic i poczwarki rozmnożą się na niej tak niezmiernie, że zniszczą cały ogród.

Gucio słuchał, nie spuszczać oczu z wróbelka: ten niepozorny szaraczek odkrywał mu dziwne rzeczy.

— Gdybyś, chłopczyku, przyjrzał się kiedy na wiosnę, jak całymi legionami uderzamy na hordy niszczycieli pożerających chciwie mło-

dziutkie pędy zbóż, zrozumiałbyś, że jesteśmy użytecznymi robotnikami, ratującymi od głodu człowieka, który częstokroć odpłaca się nam niewdzięcznością, żałując odrobiny ziarna. Strzeła on do nas, chwyta w sidła i niszczy nasze gniazda!

W historii ptasiego rodu znajduje się niejedna krwawa karta. Sto lat przeszło temu Fryderyk Wielki, król pruski, o którym musiałeś słyszeć, sławny z zaborów i skąpstwa, osądzivszy, że za wiele zjadamy mu zboża, nie tylko wydał wyrok zabraniający wróblom przebywania w granicach jego państwa, ale nawet nałożył cenę na nasze głowy, jak gdybyśmy byli przestępcami politycznymi. Wymordowano nas wtedy setki tysięcy; ale zaraz w następnym roku robactwo tak bardzo zniszczyło plony rolników, że Wielki ów Fryderyk odwołał wyrok i dawał nagrody pieniężne mieszkańcom swego państwa za każdego sprowadzonego doń żywego wróbla. Garstka wychodźców³² wróciła wtedy z tryumfem; ale mój prapradziad, któ-

³²wychodźca — emigrant, wygnaniec. [przypis edytorski]

ry cudem tylko uszedł śmierci i pod gościnnym dachem polskiego wieśniaka znalazł przytułek, nie chciał już wracać. Pokochał on Polskę jak własną ojczyznę i w niej też chciał złożyć swoje kości... We Francji, na Węgrzech i we Włoszech cierpieliśmy także czas jakiś podobne jak w Prusach prześladowanie. Wypędzono nas, a potem znów gwałtem sprowadzano, zachęcano wszelkimi sposobami do osiedlania się, a nawet urządzano nam na drzewach gotowe już mieszkania...

— Co za dziwne koleje losu — odezwał się Gucio, słuchający z wielkim zajęciem tego opowiadania — nigdy bym nie pomyślał, że wróbel jest przyjacielem i dobroczyńcą człowieka!

— Człowiek ma dużo przyjaciół — świergotał wróbel dalej — ale sam jest największym swoim nieprzyjacielem. Dopóki nie mieliśmy dzieci, odbyliśmy oboje z żoną kilka podróży po kraju i to cośmy widzieli, napełniło nas smutkiem i trwogą o jego przyszłość. Dawniej rozpościerały się tu obszerne lasy, których

gęste podszycie dawało ochronę tysiącom ptaków; teraz gdzie spojrzeć, drzewa wycięte w pień, kraj coraz bardziej pustoszeje, a nasze legiony pozbawione przytułku przerzedzają się straszliwie. Wkrótce zabraknie człowiekowi sprzymierzeńców, walczących wiernie w obronie jego pól. Coraz częściej rozchodzą się wieści o nieznanym dotąd w Polsce gatunkach chrząszczyków i much, niszczących pola i lasy. Obym się omylił, ale to są zwiastuny klęsk, na które nie długo będziemy czekać!...

Tu wróbel westchnął głęboko i mówił dalej.

— Najcięższą porą roku dla nas jest zima: giniemy z głodu tysiącami. Gdyby człowiek chciał nam rzucać chociaż okruchy chleba ze swego stołu, te okruchy, które wyrzuca co dzień w śmieci, uratowałyby tysiące głodnych bez żadnego uszczerbku dla siebie.

— Czy to państwo nie wyjeżdżacie w jesieni za granicę? — zapytał Gucio.

— Cała arystokracja wyjeżdża — odpowiedział ptaszek — kukułki, słowiki, jaskół-

ki, bociany, żurawie; my, szaraczki, pilnujemy domowej zagrody. Ale ty musisz być strudzoney, chłopczyku, bo widzę, że się ledwie trzymasz na nogach. Wejdź, proszę, do mojej chatki i odpocznij tak długo, jak tylko będzie ci się podobało. A może jesteś głodny? Mógłbym cię poczęstować jakim tłustym robaczkiem.

— Nie mów mi nawet o tym — odrzekł Gucio ze wstrętem. — Wolałbym umrzeć z głodu, niż dotknąć się czegoś podobnego.

— To może pozwolisz jajko pierścienicy? Jest smaczne, bardzo strawne i nie obciąża żołądka. Moja kuzynka, sikorka, przepada za tym przysmakiem. Zjada ona codziennie po kilka tysięcy tych jajeczek.

„Winszuję jej apetytu” — pomyślał Gucio, wstrząsając się na tę propozycję, i odrzekł — Bardzo dziękuję, nie będę nic jadł. Pozwólcie mi tylko państwo trochę u siebie odpocząć.

— Z całego serca!

Wszedłszy do gniazdka, Gucio z podziwieniem³³ przypatrywał się jego misternej budo-

³³z podziwieniem — dziś: z podziwem. [przypis edytorski]

wie i różnorodności materiału, z jakiego została sporządzona. Bo też i czego tam nie było! Żdźbła słomy i siana, delikatniejsze włókna korzeni, skrawki od sukien, kawałki waty, nitki, bawełna, sierść, szczecina, mech, a wszystko razem ułożone w całość z pewnym planem i ładu i troskliwie wewnątrz wysłane puchem, który może ptaszyna wydierała sobie z piersi, żeby dzieciom urządzić miękkie i ciepłe posłanie. Rozważając, ile ta budowa kosztowała pracy, jak każdy z osobna kawałek materiału budowlanego musiał być przez małego budowniczego z trudem daleko nieraz wyszukiwany i w dziobku przyniesiony — Gucio czuł się mimowolnie wzruszony i zawstydzony pracowitością swego uprzejmego gospodarza. O ileż on, człowiek, gorszym był od tego ptaszka!

Ostatnie blaski słońca zniknęły już zupełnie: małe ptaszyny pochylały senne główki, a matka, rozpostarwszy nad nimi skrzydła, tuliła je do siebie i osłaniała przed chłodem wieczornym! Gucio wspomniał sobie swoją mateczkę;

wspomniał, jak co wieczór pochylała się nad jego łóżeczkiem, okrywała troskliwie i ucałowawszy synka na dobranoc, kreśliła mu krzyżyk na czole, żeby Bóg strzegł go przez noc, a Anioł Stróż przyniósł sny przyjemne i wesołe. Czuł, że go łzy zaczynają dławić, że mu się serce wydziera do domu i zapragnął zobaczyć rodziców i Helusię, chociaż z daleka. Jeżeli okna jeszcze otwarte, wleci do pokoju i zobaczy, co się dzieje, czy już spostrzeżono jego zniknięcie. Pewnie go szukają na wszystkie strony, nie domyślając się nawet rzeczywistego nieszczęścia. Co to będzie, gdy go nie znajdą!

— Żegnam cię, poczciwy ptaszku — rzekł do swego gospodarza. — Naucz mnie, jak mógłbym ci się odwdzięczyć za gościnność. Dziś wprawdzie jestem tylko małym owadkiem, ale mam nadzieję, że kiedyś pokuta moja skończy się i będę na powrót tym, czym byłem, a wtedy...

— Wtedy — dokończył wróbel — gdy przyjdzie zima, a śnieg wszystko zasypie, nie pozwól umierać z głodu moim braciom, gdy ich ujrzysz

skupiających się około domu i szukających rątku u ludzi.

— Przysięgam — odpowiedział uroczyście Gucio — że ani jeden okruch chleba z naszego stołu nie pójdzie w śmieci. Będę je sam zbierał starannie i rzucał przed oknami, a oprócz tego poproszę ojca, żeby pozwolił nade drzwiami domu zawiesić snopek zboża dla biednych zgłodniałych ptaszków.

— Oby się spełniły twoje słowa! Bądź zdrów, chłopczyku; życzę ci, aby twoja pokuta skończyła się jak najprędzej. Ale to późno już, może byś lepiej u mnie przenocował.

— Nie, miły gospodarzu, nie mogę, chciałbym dziś jeszcze dostać się do domu i zobaczyć swoich, zanim pozamykają okna.

— A więc posłuchaj mojej rady: wejdź na sam wierzchołek drzewa; stamtąd zobaczysz jak na dłoni dom i ogród. Rozpatrz się dobrze, a potem rozwiń skrzydła i leć prosto w kierunku domu; inaczej mógłbyś zabłądzić, boś się jeszcze nie wprawił w lataniu.

VI. GUCIO NOCUJE W PAŁACU LILIOWYM

Gucio poszedł za radą gościnnego wróbelka, ale nieprzyzwyczajonemu do żeglugi powietrznej skrzydełka prędko osłabły. Zaczął opadać coraz niżej, niżej, przy czym spuścił z oczu dom rodzicielski i zabłądził w drodze. Długo krążył na prawo i na lewo, nareszcie straciwszy nadzieję odnalezienia drogi, spoczął zmęczony na krzaku białej lilii.

Noc nadeszła, ale była to jasna noc letnia. Księżyc wszedł na niebo i niby lampa cudowna oświecał wszystkie przedmioty łagodnym srebrzystym światłem; gwiazdy migotały drobnymi światełkami, niby miliony ócz³⁴ patrzących na ziemię i mrugających bezustannie, a w trawie, niby garść rozsypanych diamentów, błyszczały robaczki świętojańskie. Od drzew ogrodu padały na ziemię wielkie, długie cienie, kładąc się jeden koło drugiego. Tak leżały całe szeregi. Znękany umysł Gucia zaczął machinalnie

³⁴ócz — daw. forma D.lm; dziś: oczu. [przypis edytorski]

rachować te cienie i przyszło mu na myśl, że one wyglądają jak spisywane w wielkiej księdze Boga rachunki dni zmarnowanych przez niego w bezczynności; jak widma przychodzące go dręczyć pytaniami, co zrobił z godzinami, które mu owe dni przynosiły kolejno, a które już nigdy nie powrócą... Pomyśleć, że coś minęło i nie powróci nigdy, choćbyśmy to nawet kosztem życia własnego chcieli okupić, co za straszna rzecz! Gucia dreszcz przeszedł, gdy się nad tym zastanowił.

— Jak ja tę noc przepędzę i co ze mną będzie dalej? — mówił do siebie. — Bóg czuwa nad światem, ale czy będzie chciał opiekować się mną, który niczym nie zasłużyłem na to?

Cisza zaległa ogród, tylko żaby w stawie mówiły jeszcze wieczorne pacierze i kwiaty szepotały ciche modlitwy. Gucio przeżegnał się i zaczął także mówić swój pacierz codzienny, a potem jeszcze pieśń *Kto się w opiekę*. Skończywszy, podniósł oczy w niebo, jakby szukając tam odpowiedzi na swe gorące prośby, i wydało mu się, że duża pocziwa twarz księżycy dodaje mu

otuchy, a gwiazdy mrugają przyjaźnie. Uczuł się troszkę pokrzepiony i zaczął myśleć o noclegu jako tako wygodnym.

Tuż przy nim, na wysmukłej łodydze rozkwitała przepyszna lilia biała, otoczona licznym orszakiem nocnych motyli w białych szatach; wspanialszy pałac trudno było wymarzyć. Guccio postanowił w nim noc przepędzić³⁵ i wszedł do środka kwiatu, który znalazł szeroko otwarty.

Guccio lubił kwiaty dla ich barw pięknych i zapachu, ale uważnie nigdy żadnemu się nie przypatrzył; toteż oczarowany został pięknoscią liliowego pałacu, któremu srebrne światło księżycy dodawało jeszcze tajemniczego uroku. Obejrzenie go dokładne odłożył na jutro; dziś już nie chciał myśleć o czym innym jak o spoczynku, zwłaszcza że znalazłszy na płatkach kwiatu krople wieczornej rosy, zaspokoił jedną z nich pragnienie dotkliwie mu dokuczające.

³⁵przepędzić — dziś: spędzić. [przypis edytorski]

Właśnie wyciągał się na śnieżystej pościeli i wdychając w siebie z rozkoszą balsamiczną woń kwiatu, myślał, że żaden król nie ma wspanialszego od niego łoża, gdy nagle słuch jego uderzony został śpiewem tak pięknym, że mimo znużenia zerwał się z pośłania i wyszedł ze swej sypialni. Stanąwszy na jednym z bardziej wywiniętych na zewnątrz płatków lilii, jak na balkonie, zaczął przysłuchiwać się temu niespodziewanemu koncertowi.

Śpiew wychodził z bliskich krzaków agrestu, nisko przy ziemi rosnących, i płynął ku niebu, a tony jego rozbrzmiewały po całym ogrodzie i szły po rosie daleko. Gucio poznał po głosie śpiewaka: był to natchniony artysta, uznany od wieków przez świat cały — słowik. Słyszał on słowika nieraz, ale nigdy jeszcze śpiew jego nie zrobił na nim takiego jak dziś wrażenia. Nieszczęście, osamotnienie, tęsknota do swoich zrobiły go czulszym na wszystko i wydobywały z głowy myśli, a z serca uczucia, jakie może nieprędko byłyby się tam odezwały

w zwykłych okolicznościach. Te tony anielskiej czystości, słodkie, tęskne i rzewne przenikały go do głębi duszy i dziwił się, że taki mały ptaszek ma taki potężny głos i tyle przyjemności słuchaczom sprawić zdoła.

Usiłował sobie przypomnieć, ile też on kiedy zrobił komu przyjemności, ale jakoś pamięć nie miała mu nic do przypomnienia. Trzeba przyznać, że bardzo mało myślał o drugich. Wszystko ograniczało się do rozdawania pieniędzy, ciastek i cukierków, które nic go nie kosztowały, bo ich miał do zbytku.

Nie sam tylko Gucio słuchał natchnionego śpiewaka. W całej wiosce zapanowała cisza uroczysta: żaby przerwały swoje pacierze i wstrzymywały oddech, ćmy i motyle przestały latać, ucichły szelesty kwiatów, szum drzew; nawet drobne robaczki, suwające po ziemi z cichym szmerem, zdawały się także słuchać.

Wtem pieśń urwała się tak nagle, jak gdyby jakaś struna pęknięta zepsuła cały instrument; słychać tylko było w zaroślach jakby trzepota-

nie skrzydeł, jakby szamotanie się rozpaczliwe, a potem ucichło wszystko...

Gucia zdjęła niewytłumaczona obawa o śpiewaka. Co to było? Co mu takiego stać się mogło? Dlaczego nie dokończył koncertu? Wstrzymywał więc oddech i czekał, czy czarujące dźwięki nie odezwą się jeszcze. Czekali i inni słuchacze: robaczki, motyle, żaby, kwiaty i drzewa, ale głucha cisza panowała w ogrodzie; więc po chwili wszystko wróciło do poprzednich zatrudnień i różne szумы, szelesty i szmery nappełniły znowu powietrze. Gucio stał jeszcze czas jakiś zamyślony na swoim balkonie, czyniąc przeróżne domysły i przypuszczenia, i z ciężkim sercem wrócił do liliowego pałacu.

Zmęczony przygodami i wzruszeniami, oduurzony cudowną wonią kwiatu zasnął twardo i przysniło mu się wszystko, co kochał i utracił; stary, pocziwy dom rodzinny, cały obrośnięty dzikim winem, z zawieszonym nad drzwiami wchodowymi³⁶ obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, malowanym na blasze; lipy sto-

³⁶*wchodowy* (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

jące przed gankiem i akacje; mateczka, ojciec, Helusia, dziadek, panna Anna, siwy konik okryty czaprakiem, ulubiony pies Burek. Widział ich wszystkich we śnie, cieszył się z nimi i mieli się już nigdy nie rozłączać.

Ale wszystko na świecie musi mieć swój koniec, więc i sen Gucia nie mógł trwać wiecznie. Gdy się przebudził, nie mógł od razu pojąć ani gdzie jest, ani co się z nim stało; chwila upłynęła, zanim zdał sobie sprawę ze swego położenia. Z ciężkim westchnieniem zabrał się do pacierza, polecając Bogu swój los i prosząc go o skrócenie pokuty.

W powietrzu był miły, orzeźwiający chłód. Słońce tylko co wstało i poszło zaglądać do chat wieśniaczych, jakby wołając na ludzi, że czas już iść do roboty. Skrzydlata ptaków orkiestra śpiewała hymn tak wesoło i hałaśliwie, jak gdyby chóry chciały się wzajemnie przekrzyczeć i kłóciły się o to, które wprzód będą usłyszane w niebie. Wnętrze liliowego pałacu, ozłoczone promieniami słońca, jaśniało królewskim przepychem, a krople rosy tu i ówdzie błysz-

czały na płatkach niby diamenty na białym atłasie.

Gucio z zachwytem przypatrywał się tym ścianom atlasowym. Było ich aż sześć: rozłożone u góry niby kartki wachlarza schodziły się z sobą u dołu w jedną całość, a wzdłuż każdej szedł wąski złoty pasek. Co go najwięcej dziwiło, to klomb³⁷ dziwaczny, znajdujący się w tej wonnej komnacie: w samym środku stała wysoka, bladozielona kolumna, zakończona u góry trzema żebrami rozszerzonymi na samym wierzchu, a żebra te pokryte były drobnymi brodawkami powleczonymi lepłą cieczą. Naokoło kolumny wznosiło się sześć niższych od niej cienkich nitek, czyli pręcików, a na każdym u samego wierzchołka wisiał długi podwójny woreczek jakby przeszyty przez środek. Woreczki miały ciemnożółtą barwę, a przyczepione tylko środkiem do pręcików, chwiały się za każdym silniejszym wiatru powiewem.

³⁷*klomb* — podwyższona w stosunku do otoczenia okrągła rabata kwiatowa.
[przypis edytorski]

Gucio przyglądał się temu klombikowi, tym pręcikom, a najwięcej tym żółtym woreczkom, ciekawy, co też one zawierać w sobie mogą — gdy leciuchny szmer zwrócił jego uwagę. Do komnaty zajrzała ciekawie mała ciemnobraunatna muszka i zobaczywszy Gucia, zawahała się, jakby się namyślając, czy wejść dalej, czy nie wejść.

„Mówił mi wczoraj kret czy wróbelek, że każde stworzenie pracuje dla ogólnego dobra — pomyślał — głupstwo! Ciekawa rzecz, do jakiej też roboty może być zdatna ta oto jejmościanka. Próżnuje to pewnie cały boży dzień i tylko patrzy, gdzie jest co do zjedzenia albo też wygrzewa się na słońcu”.

Chwilę tak patrzyli na siebie, ona na niego, a on na nią. On dziwił się szczególnie jej dużym, zajmującym prawie całą głowę oczom, złożonym z niezliczonej ilości małych sześciennych oczek, a najwięcej trzem małym dodatkowym oczom umieszczonym na czole i różkom pokrytym pierzastą szczeciną. Nie wiedział jeszcze, biedak, że zupełnie tak samo wy-

gląda! Nareszcie jejmościanka osądziwszy snadź³⁸, że nie ma potrzeby wcale na niego zważać, weszła do środka, nie przeprosiwszy nawet za natrećtwo. Dokoła klombu błyszczało coś jakby wilgoć. Muszka zaczęła zwawo chodzić naokoło i wypijać tę wilgoć swoją misterną, delikatną trąbką. Chodząc, potrącała pręciki i, o dziwy! Gucio zobaczył, że owe podwójne woreczki pękały na zeszyciu przez środek i każda połowa odwróciła się na lewą stronę, przy czym obficie wysypywał się żółtopomarańczowy proszek. Klomb był cały pokryty tym proszkiem, a muszka podobna do młynarza mielącego żółtą mąkę. Gucio nie mógł już dłużej wytrzymać w roli obojętnego widza.

— Moja panno, co to wszystko znaczy? — odezwał się ostro, wskazując łapką na rozsypany proszek — po co tu weszłaś i dlaczego narobiłaś tyle nieporządku?

Muszka odwróciła się żywo i zmierzyła go od stóp do głów swymi bystrymi oczami.

³⁸*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Aa! Pokutujący człowiek! — rzekła narzeczcie — nie spostrzegłam tego od razu, boś czerwonej czapeczki na głowie nie miał. Cóż to pan dobrodziej przeskrobał?

Gdyby Guccio nie był w tej chwili muchą, ale chłopczykiem, to by groźnie brwi zmarszczył; ale, niestety, nie mógł tego uczynić, musiał więc poprzestać na powiedzeniu sobie, że nie warto zważać na „baby”, choć zły był okropnie. Podniósł czapeczkę, która mu była spadła³⁹ podczas snu, i kładąc ją na głowę, odpowiedział głosem na pozór obojętnym:

— Moja panienko, mężczyźni nie lubią babom zwierzać się ze swoich tajemnic, nie żądaj więc ode mnie odpowiedzi na swoje pytanie, bo musiałbym być dla ciebie niegrzeczny. Spodziewam się jednak, że będziesz łaskawa wytłumaczyć mi, dlaczegoś tu przyszła i naśmiecila?

— Dlatego, żeby kwiat miał nasienie — odpowiedziała.

— Co? Co? Nie rozumiem panny!

³⁹była spadła — daw. czas zaprzeszły; znaczenie: spadła uprzednio, wcześniej.
[przypis edytorski]

— Słuchajże mnie z uwagą. Najważniejszą częścią każdego kwiatu jest to — i to.

Tu wskazała umączoną łapką na wierzchołek kolumny, okryty teraz grubo żółtym proszkiem, i na pręciki z woreczkami.

— Pod wierzchem tej kolumny — mówiła — jest otwór głęboki, sięgający aż do samego dołu, gdzie ukryte są zalążki nasionek, i to wszystko razem nazywają ludzie słupkiem. Żeby jednakże z zalążków wytworzyły się nasiona, trzeba je zasilić tym żółtym pyłkiem, który się znajduje w woreczkach. Kwiat tego sam zrobić nie może, potrzebuje pomocy i tę dajemy mu my, owady. Wytrząsamy z woreczków pyłek, a on przeciska się między brodawkami, spada do środka słupka i zasila zalążki.

Gucio słuchając tego kiwał głową z niedowierzaniem.

— Bywają kwiaty niemające wcale pręcików, tylko same słupki, i inne, które znów słupków nie mają, tylko pręciki. W takich nasiona nie zawiązałyby się nigdy, gdyby usługne owady nie latały po całych dniach z kwiatka na kwia-

tek i nie znosiły na łapkach i skrzydłach każdego tego, co mu jest potrzebne. Bez nasion nie ma owoców: gdyby nie my i nie wiatr, co nam często w tej pracy pomaga, ty, chłopczyku, nie jadłbyś nigdy owoców. Jesteśmy bożą czeladką i jak widzisz, odrabiamy ważną robotę z rozkazu Pana świata.

Gucio ciągle kiwał głową z niedowierzaniem: brzmiało to jak bajka z *Tysiąca nocy*, bo czytał był⁴⁰ tę książkę. Czy podobna, żeby takie małe, nędzne stworzenia miały tak dużo znaczyć w życiu świata? Muszka sobie chyba z niego żartuje.

Pomyślawszy chwilę, rzekł nareszcie:

— Wróbel mi mówił, że owady tępić trzeba jako szkodliwe rolnictwu, a panna nazywasz je bożą czeladką. Któż z was mówi prawdę?

— Jedno i drugie. Owady rozmnażają się z niesłychaną szybkością, znosząc rocznie setki tysięcy jajeczek; gdyby ich ptaki nie tępiły, to w krótkim czasie one jedne zapanowa-

⁴⁰czytał był — forma daw. czasu zaprzieszczonego; znaczenie: czytał wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

łyby nad światem. Niezmordowani ci robotnicy tak daleko posunęliby swą pracę, że nic by się nie ostało przed ich nienasyconym obżarstwem. Żadne stworzenie nie istnieje bez celu, ale w stosunku ich do siebie musi być zachowana równowaga.

— Dziwna rzecz, że panna, przybywszy tu dla pracy, pomyślałaś jednak najprzód o jedzeniu — przerwał Gucio, który dotąd nie pozbył się jeszcze swej podejrzliwości względem gościa.

— Nie zapieram się tego. Bóg tak urządził, żeby praca wykonywana przez nas łączyła się ściśle z naszym własnym interesem. Otrząsamy pyłki, szukając w kielichach kwiatów pożywienia dla siebie. Najczynniejsze w tej robocie są pszczoły, chociaż moim zdaniem one zanadto się poświęcają. Słodycz znajdowaną w kwiatkach noszą one do ula i gromadzą dla ludzi, którzy wprawdzie miód chętnie jedzą, ale pracy pszczoł i trudu nawet w setnej części nie oceniają tak, jak na to zasługuje.

— Więc to jest słodkie? — zapytał Gucio, który nagle uczuł silny głód, wskazując łapką na wilgoć błyszczącą dokoła klombu.

— Jak miód, spróbuj tylko.

Gucio spróbował, a spróbowawszy, połykał z chciwością wonny nektar.

— Żegnam pana, pokutujący człowieku — rzekła muszka, dygając uprzejmie. — W dalszej podróży spotkasz się pewnie z księżniczką Joasią, która pokutuje tak samo jak ty, za złe obchodzenie się ze służącymi. Bardzo jednak spuściła z tonu⁴¹ od czasu, jak służy u królowej pszczół za popychadło. Jej królewska mość jest wielce surowa i wymagająca.

— Po czymże księżniczkę Joasię można poznać? — spytał Gucio.

— Nosi złocistą spódniczkę. Bądź zdrow. Smacznego apetytu.

⁴¹*spuścić z tonu* — stracić pewność siebie; pozbyć się hardości. [przypis edytorski]

VII. CZARNI RYCERZE

Wczoraj jeszcze Guccio potrafił zjeść na podwieczorek całego kurczaka, a dziś odrobina słodczy wystarczyła mu na pierwsze śniadanie. Skończywszy posiłek, wyszedł zobaczyć, co się dzieje na dworze.

Kształt balkonu, z którego wczoraj przy świetle księżycy słuchał koncertu, zmienił się nieco przez noc. Lilia jeszcze więcej rozkwitła, a płatki jej wywinięte na zewnątrz i połączone z sobą tworzyły z jednej strony kwiatu długi zębaty ganek, po którym można było swobodnie spacerować. Guccio wszystko dziwiło i zajmowało. Co chwila odkrywał coś nowego, a on zawsze za nowościami przepadał. Na jednym ze śnieżnych płatków kilka kropli rosy zebranych razem tworzyło malutką sadzawkę. Guccio, który dziś jeszcze nie myślał o odświeżeniu toalety, skorzystał z tego, żeby się wykąpać. Pierwszy to raz, od chwili gdy został zaczarowany, ujrzał swój obraz odbity w wodzie: miał on takie same oczy, złożone z mnóstwa małych sześcien-

nych oczek, jak owa muszka, z którą tylko co się pożegnał, a które go tak dziwiły; miał takie same trzy dodatkowe oczka na czole i takie same różki.

— Pięknie wyglądam, ani słowa — rzekł do siebie i westchnął.

Zanurzył się kilka razy z rozkoszą i wyskoczył, a otrząsnąwszy skrzydełka z wody, przeszedł na stronę ganku wystawioną więcej⁴² na słońce, żeby się wysuszyć.

Tutaj uderzył go niespodziewany widok. Pod krzakiem róży, na ścieżce, leżał martwy artysta, którego śpiewu wczoraj w uroczystym milczeniu słuchała cała wioska. Oczy zamknięte, piórka poszarpane pod gardłem, krwawa rana na piersiach i nóżki kurczowo zgięte pokazywały, że biedny śpiewak zginął gwałtowną śmiercią... Nieco dalej na ścieżce leżało trochę piór wyrwanych ze skrzydeł, a tuż przy nich, na wilgotnym piasku, odcisnięte były wyraźnie ślady pazurów kota. Wszystko wskazywało, że napad był nagły, niespodziany i że zabójca

⁴²wystawioną więcej — dziś popr.: wystawioną bardziej. [przypis edytorski]

jakimś szelestem spłoszony uciekł, zostawiając swoją ofiarę.

— A, zbrodniarz! — zawołał Guccio, przejęty zgrozą — gdybym mógł, zastrzeliłbym go bez litości! Biedny, biedny artysta, tak cudownie wczoraj śpiewał i nie przeczuwał pewnie, że to jego ostatni koncert. Jak ja mogłem spokojnie spać w nocy, gdy blisko mnie działały się takie straszne rzeczy!

Chciał zbliżyć się do zabitego, ale zauważył, że jego zwłok pilnują dwa owady z bardzo podejrzanymi minami, i to go wstrzymało.

Odziane czarnymi pancerzami, z dwiema żółtoczerwonawymi pręgami na skrzydłach wyglądały jak żałobnicy, a trójkątne hełmy na głowach i ostrogi przy tylnych nogach zdawały się mówić, że te mundury zostały przywdziane dla oddania honorów wojskowych nieboszczykowi⁴³. Co jednak Guccio najczęściej uderzało w tym stroju to duże rogi, jakimi były hełmy

⁴³owady (...) odziane czarnymi pancerzami, z dwiema żółtoczerwonawymi pręgami na skrzydłach (...) trójkątne hełmy na głowach i ostrogi przy tylnych nogach — mowa tu o chrząszczach z gatunku Grabarz żółtoczarny (*Necrophorus vespilloides*). [przypis edytorski]

opatrzone. Z całej tych rycerzy postaci milczącej, ponurej zdawało się, że to chyba piekło ich przysłało po duszę śpiewaka. Ale co taki poczciwy ptaszek, który rozweselał i cieszył ludzi zmęczonych pracą i nie tylko ludzi, bo wszystkie stworzenia, mógł zgrzeszyć?

Jak stolarz obchodzi dokoła ciało nieboszczyka, kiedy bierze miarę na trumnę, tak obaj czarni rycerze krążyli dokoła zwłok nieszczęśliwego śpiewaka; po czym stanęli, kilkakrotnie dotknęli się rogami swoich hełmów, jakby dając sobie jakieś znaki tajemnicze, i jeden się oddalił, a drugi pozostał na straży.

„Ciekawy jestem, czego oni chcą?” — pytał sam siebie Gucio i czekał, co dalej będzie.

Niedługo czekał. Z górnych warstw powietrza doleciał go głuchy szmer, szmer szczególny, zagadkowy, nigdy jeszcze dotąd niesłyszany, który stawał się coraz wyraźniejszy, i jednocześnie rozeszła się silna woń piżma. Zaciekawiony, kto też się tak uperfumował, spojrział w górę i zobaczył lecący cały oddział czarnych rycerzy; wiódł ich prawdopodobnie ten

sam owad, który się stąd niedawno oddalił. Od-
dział składał się z kilkunastu.

Stanąwszy na ziemi, wszyscy zaczęli wspól-
nymi siłami ściągać zwłoki śpiewaka ze ścieżki,
gdzie było pełno ostrych zwirowatych kamycz-
ków, na piasek, pod krzak lilii, na którym sie-
dział Gucio.

— Moi panowie, co chcecie zrobić z tym
biednym ptaszkiem? — odezwał się Gucio, prze-
mógłszy swoją niechęć do czarnych postaci. —
Nie róbcie mu nic złego, bardzo was o to pro-
szę!

— Człowiek pokutujący! Człowiek poku-
tujący! — szeptali pomiędzy sobą rycerze, oglą-
dając się na niego, a jeden, wyglądający na star-
szego od innych, odpowiedział:

— Bądź spokojny, chłopczyku, nie mamy
żadnych złych zamiarów, chcemy tylko zamor-
dowanego ptaszka pochować.

Gucio niezmiernie się zdziwił.

— Przepraszam bardzo za moją ciekawość
— odezwał się znowu — ale... dlaczego pano-

wie bierzecie się do tego? Czy grzebanie umarłych jest zwykłym waszym zatrudnieniem?

— Tak, chłopczyku. Jesteśmy grabarzami wszystkich nieżywych stworzeń małego rozmiaru, jak na przykład ptaków, myszy, susłów, cho-mików i wielu innych. Groby, które kopujemy, są zarazem kolebkami naszych dzieci; składamy bowiem jajka w martwe ciało, żeby wylęgnięte z nich potomstwo znalazło zaraz gotowy pokarm pod ręką. Bóg chce, abyśmy z pracy, jaką podejmujemy dla świata, i dla siebie też wycią-gali jakąś korzyść. Innej zapłaty za robotę nie bierzemy.

— Nie rozumiem, co świat na tym korzy-sta — wtrącił Guccio.

— Czyż nie zgadujesz tego, chłopczyku? Gdyby nie my, wszystkie nieżywe zwierzątka rozkładałyby się i zatruiwały powietrze, a zara-zem w krótkim czasie zdziesiątkowałyby lud-ność.

— A jeżeli padnie koń albo krowa, to kto się zajmuje ich pogrzebem?

— Nasi krewni, nazywający się grobowcami i kąsawcami; ale oni nie grzebią umarłych tak jak my, tylko ich pożerają, i to nie prędzej, aż ciało zacznie się rozkładać. Jeżeli rozkład nie dość prędko następuje, grobowce wydają z siebie ciecz brunatną i cuchnącą, prawdziwy napój śmierci, pod wpływem którego ciało prędzej gnije.

Gucio się cały wstrząsnął, zgroza go przemawiała.

— Wgryzają się one pod skórę zwierzęcia — mówił grobarz⁴⁴ dalej — i w krótkim czasie tak dokładnie wszystko wyjadają, że nie zostaje ani kosteczka. Załatwiają się one z największymi zwierzętami prędzej niż psy i wilki. Wy, ludzie pokutujący, dziwicie się wszystkimu. Niedawno na pogrzebie małej myszki, która przez łakomstwo wpadła w pułapkę, musiałem opowiedzieć to samo pewnej małej księżniczce, która za złe obchodzenie się ze służącymi musi teraz służyć u królowej pszczół za

⁴⁴grobarz — dziś: grabarz. [przypis edytorski]

popychadło. A ty, chłopczyku, za co pokutujesz?

Gucio, którego w najgorszy humor wprowadzały pytania dotyczące tego drażliwego przedmiotu, udał, że nie słyszy.

— Bądź pan łaskaw powiedzieć mi jeszcze, kto was zawiadamia o śmierci zwierzątek? Czy rodzina i przyjaciele zmarłych?

— Nasz własny węch: z daleka czujemy śmierć. Ale dość tej gawędki! Towarzysze, do roboty!

Jakby na komendę cały oddział, pochyliwszy się, zaczął się wciskać łapkami pod ciało ptaszka, kopiąc jednocześnie przednimi nogami ziemię z nadzwyczajną szybkością i odrzucając ją na bok tylnymi. Guccio podziwiał te nogi silne, opatrzone haczykami, doskonale zastępującymi łopaty. Zwłoki śpiewaka zagłębiały się w ziemię coraz więcej i więcej; a gdy się zupełnie schowały, czarni rycerze zaczęli wyprawiać na nich szalone skoki, istny taniec czarownic, po czym zasypali je ziemią, tworząc mały wzgórek, udeptali i odeszli. Nie pozostał naj-

mniejszy ślad krwawego dramatu, jaki się tu w nocy odegrał⁴⁵, tylko kilka piór leżących na ścieżce zostało jako jedyna po wielkim artyście pamiątka, a i te za chwilę wiatr rozwieje.

Biedny śpiewak! Niechaj mu ziemia lekką będzie...

VIII. GUCIO ODPOCZYWA U TKACZA PUSTELNIKA

Gdy grobarze po skończonym pogrzebie odeszli, Guccio wstrząśnięty głęboko widokiem, jaki miał niedawno przed oczyma, pozostał z niewesołymi myślami o śmierci i znikomości życia, o biednym śpiewaku śpiącym teraz cicho w mogile i zapytywał sam siebie, czy istotnie oprócz kilku piórek na ścieżce nic więcej po nim nie pozostało? O nie! Kto słuchał jego pieśni natchnionych, ten nie zapomni wrażenia, jakiego doznał, i zachowa w sercu życzliwe o nim wspomnienie. On sam czuł to po sobie.

Tu zaczął się zastanawiać, co by też to było, gdyby on umarł. Mateczka rozchorowałaby się

⁴⁵dramatu, jaki się tu (...) odegrał — dziś: (...) rozegrał. [przypis edytorski]

ze zmartwienia, siostrzyczka i ojciec płakaliby bardzo, nawet słudzy żałowałiby go, bo szczerze lubili panicza. Ale po pogrzebie każdy by sobie pomyślał: „ten chłopiec tak martwił rodziców swoim lenistwem, że lepiej, iż go Bóg zabrał. Świat i tak nie miałby z niego żadnego pożytku”.

Zapłakał nad sobą.

Ale trudno jest wytrwać długo w myślach posepnych, gdy słońce świeci jasno, niebo jest pogodne, a usposobienie pokutnika z natury żywe. Toteż Guccio otrząsnął się prędko z przykrych wrażeń. Przypomniała mu się owa księżniczka Joasia, o której mówili mu wszyscy, wróblek, muszka i grobarz. Ciekawy był ją poznać i dowiedzieć się od niej samej o jej losach. Gdyby wiedział, gdzie jej szukać, poszedłby prosto do niej. Ona tam pewnie biedaczka bardzo jest nieszczęśliwa, nieszczęśliwsza jeszcze od niego. On przynajmniej jest swobodny, robi co chce; a ją pewnie pszczoły pędzą do pracy od rana do nocy, dokuczają, łajają, kolą żądłami i może na-

wet jeść nie dają. Biedna, biedna księżniczka! Może ona potrzebuje opieki i pomocy mężczyzny, może oczekuje wybawiciela!

Gucio czytał i słyszał nieraz o królewiczach wybawiających zaklęte księżniczki; czemu więc nie miałby jej wybawić albo przynajmniej los jej złagodzić? Nie był wprawdzie królewiczem, ale miał serce tkliwe na niedolę bliźniego i duży zapas rycerskiego zapału. Jak ją wybawić, nie wiedział i nawet nie próbował łamać nad tym sobie głowy. Alboż ów rybak z baśni czarodziejskiej, co złowił rybkę złotą, albo ów pasterz, co szedł na koniec świata dla odszukania jabłoni rodzącej złote jabłka, widzieli, jak zdobyć swoje skarby? Czy się choć trochę namyślali? Gdzie tam! Szli w drogę śmiało i pokonawszy tysiączne przeszkody i niebezpieczeństwa z pomocą bożą, zawsze dochodzili do celu. O tym, że dla małego owadka każde przedsięwzięcie musi być trudniejsze, niż było dla rybaka i pasterza — oraz że wybawiciel sam potrzebował wybawienia — rycerski nasz bohater nawet nie pomyślał. W drogę więc, w drogę!

Pasieka mieści się w części ogrodu stykającej się z lasem. Gdyby zbłądził, to przecież spotka w podróży kogoś, co mu wskaże, w którą udać się stronę.

Widząc, jak ptaszki bujały, to wznosząc się, to opuszczając z pełną wdzięku swobodą, zapragnął odbyć podróż na skrzydłach i wzbił się w powietrze, kierując się ku lasowi. Już się trochę oswoił ze swym przyrządem do latania i nauczył sterować, zapatrując się na inne owady. Jak rybka pływająca ponad dnem rzeczki wysłanym kamyczkami i porostami, tak on unosił się nad kwiatami i krzakami, nad miejscami, które wczoraj jeszcze przebiegał jako chłopczyk. Poznawał ścieżki, drzewa, gąszcze, tylko dziwna rzecz, nie mógł zgadnąć, w której stronie jest dwór. Ilekroć mu się zdawało, że trafiła na ślad, zawsze zbłądził. Nie mogąc widzieć niktogo ze swych ukochanych, pragnął z daleka chociaż spojrzeć na dom, w którym żyli. Zdawało mu się, że gdyby się przekonał, że dom stoi na miejscu tak jak dawniej, byłoby mu lżej. Ale

widać Bóg chciał go ukarać, bo odmówił mu tej pociechy.

Długo tak bujał, kąpiąc się z rozkoszą w ciepłe promieni słońca. Jazda powietrzna sprawiała mu więcej przyjemności niż niegdyś bujanie na huśtawce, która to zabawa była mu ulubioną.

Ale po półgodzinnej podróży spostrzegł, że jakoś nie zbliża się do celu. Ogród się w dwójnasób powiększył, że ani sposób się z niego wydostać; lasu ani widać, a skrzydełka już się zmęczyły i chcąc nie chcąc trzeba popasać⁴⁶.

Zniechęcony usiadł pod drzewem na liściu łopianu, przemyśliwając, kogo by o dalszą drogę spytać, gdy nagle ujrzał z najniższej gałęzi drzewa spuszczonego się pająka.

Ciało jego okrągławe, ciemne, upstrzone było białymi kropkami ułożonymi na grzbiecie w kształt krzyża — a głowa zrosnięta cienką szyjką z gorsetem, opatrzona była czterema parami nóg przytwierdzonych do piersi. Lina, na

⁴⁶*popasać* — odpoczywać w drodze, szczególnie podczas podróży konno. [przypis edytorski]

której wisiał, przymocowana do gałęzi, przedłużała się tak szybko, jak gdyby pająk z kłębka ją odwijał. Nie było tam jednakże żadnego kłębka, ale coś ciekawszego, więcej zadziwiającego: pająk miał na końcu ciała kilka drobnych gruczołków, z których sączyła się jakaś lepka materia i w mgnieniu oka tężała na cieniutkie, ledwie dające się dojrzeć włókienka. Pająk, za pomocą nóg opatrzonych na końcach małymi grzebyczkami, zlepił te włókienka w jedną niteczkę niby biegła prządka snująca swoją przędzę. Nitka ta przedłużająca się ciągle, a więcej jeszcze pyszczek zwierzątka zakończony ostrymi szponami i osiem okropnych oczu patrzących uporczywie w naszego podróżnego napełniły go niemałą obawą i gdyby nie ciekawość przykuwająca go do miejsca uciekłby niezawodnie.

Gdy już dzieliła ich mała tylko odległość, pająk wyciągnął ku niemu jedną z przednich łap, opatrzoną mocnym, ostro zakończonym haczykiem, i zrobił taki ruch, jakby się gotował do skoku. Gucio zerwał się, zatoczył krąg

w powietrzu i usiadł na drugim liście, a pająk cofnął się, mruknąwszy z niezadowoleniem:

— Do licha! Myślałem, że to zwyczajna mucha, a to człowiek pokutujący: i śniadanie przepadło! Czego tu chcesz, chłopcze? Czy masz do mnie jaki interes? Może się chcesz nauczyć robić siatkę?

— O nie — odpowiedział Gucio, patrząc nań z nieukrywanym wstrętem — idę do królestwa pszczół i zabłądziłem. Czy pan nie mógłby mi wskazać drogi?

— I owszem. Idź prosto przed siebie, a potem weź się na prawo⁴⁷: zobaczysz tam duże miasto, które ludzie nazywają pasieką. Domy w nim wysokie a wąskie, podobne do wież z dachami spadzistymi. Była tu u mnie stamtąd przed godziną księżniczka Joasia, która służy u królowej za popychadło, i płakała bardzo z tęsknoty za matką.

— Płakała? — pochwycił Gucio ze współczuciem — biedna! Ja idę właśnie do niej. Bądź pan zdrów.

⁴⁷*weź się na prawo* — skieruj się na prawo. [przypis edytorski]

— Zaczekajże — wołał pajak — nie spiesz się tak bardzo, bo i tak nie zastaniesz jej teraz. Królowa wysłała ją po jakiś osobliwy pyłek z kwiatów wodnych, a to jest daleko. Będziesz miał jeszcze dosyć czasu. Chodź, zobaczysz tymczasem moją siatkę!

Gucio zgodził się, acz niechętnie, na obejrzenie warsztatu pajaka. Bądź co bądź była to rzecz ciekawa i warta widzenia. Siatka rozpościerała się pomiędzy dwiema gałęziami, w kształcie koła, w którym nitki promieniste rozchodziły się w równych odstępach od środka. Guccio podziwiał doskonale zachowane wymiary i nieporównaną sztukę w urządzaniu tkanki.

— Bardzo to piękny i delikatny wyrób — powiedział nareszcie — ale szkoda, że nie przyda się nikomu na nic, chyba tylko dla pana samego jako sidła do łapania tych biednych muszek, które tu widzę uwikłane i już nieżywe. Cóż z tego, że wiesz żywot pracowity, kiedy dla nikogo więcej nieużyteczny. Czy nie byłoby lepiej, żebyś sobie próżnował?

— Mylisz się, chłopcze. Pajęczyna zmieszana z chlebem od wieków używana jest do tamowania krwi. Ale nie na tym koniec: próbowano z niej wyrabiać pończochy i rękawiczki, a Ludwik XVI, król Francji, kazał z niej nawet dla siebie utkać suknię. Wprawdzie rzucił ją wkrótce, narzekając, że się prędko podarła, ale to tylko dlatego, że nie wynaleziono jeszcze sposobu nadania pajęczynie trwałości. Kiedyś to przyjdzie. My tymczasem nie ustajemy w pracy i czekamy cierpliwie. Ty, chłopcze, jesteś czymś więcej ode mnie, bo jako człowiek masz pod ręką tysiące sposobów stania się użytecznym, a czy w swym życiu zrobiłeś coś lepszego od pajęczyny?

Gucio nie znalazł na razie odpowiedzi: mocno pomieszany pożegnał pająka i spieszenie się oddalił.

Na zakręcie ścieżki ukazał się stary ogrodnik Maciej w swoim wielkim słomianym kapeluszu z obszarpanymi brzegami i w grana-

towym płóciennym spencerku⁴⁸, spod którego wyglądała koszula. Co dzień regularnie o tej porze poczciwy staruszek szedł do stawu, nabierał mętnej wody w blaszaną konewkę i podlewał kwiaty i krzewy delikatniejsze. Guccio na widok swego dobrego przyjaciela zerwał się i poleciał ku niemu.

— Dobry, kochany Macieju — wołał, krążąc koło jego kapelusza — ty mnie poznasz, ty odgadniesz w małej muszce swojego panicza i powiesz mi, czy w domu wszyscy zdrowi i czy się bardzo martwią, że im zginął?

Maciej przystanął na chwilę, postawił konewkę na ziemi, zdjął kapelusz i jął się nim od natrętnej muchy opędzać, co brzęcząc głośno, latała mu ciągle koło ucha.

— A to ci uparte stworzenie! — rzekł narazie zniecierpliwiony i otworzywszy swoją żylastą dłoń tak nią machnął w powietrzu, że o mało nie zabił panicza.

Guccio z boleścią uciekł.

⁴⁸*spencerek* — zdrobn. od: *spencer*, krótka dwurzędowa kurtka. [przypis edytorski]

— Nie poznał mnie — mówił do siebie z płaczem — nie poznał, a ja go tak kochałem!...

I spoglądając wzrokiem pełnym wyrzutu za ogrodnikiem, który krok za krokiem postępując, podlewał dalej kwiaty, czuł do niego żal głęboki, że z takim spokojem wypełniał swoje codzienne zatrudnienie, zamiast się troskać o panicza, zamiast go szukać i wołać na wszystkie strony.

„Gdyby Helusia zginęła, to by jej szukał — myślał, czując że brzydkie uczucie zazdrości ściska mu serce. — Ona go nauczyła czytać...”

Gorzko mu było w sercu i gorzko w ustach; widok wody spadającej rzęsim deszczem na kwiaty z koneweczki obudził w nim pragnienie. W powojach błękitnych rosnących nad brzegami trawników pełno było tego deszczu. Guccio usiadł na jednym kwiatku, ale zaledwie zajął do kielicha, odeszła go wszelka ochota do picia.

W wodzie roiły się miliony istot potwornych, do węży podobnych; u wielu z nich drob-

niutkie włoski, niby kolce pokrywające jeża, zastępowały płetwy rybie przy odbywaniu ruchów. Węże te wiły się z niesłychaną szybkością, uganiały za mniejszymi od siebie istotkami kształtu kulistego i staczały z nimi walki tak zacięte, że trudno było odróżnić napastnika od napastowanego. Walki kończyły się pożeraniem.

— Kto by pomyślał, że w kropli wody mogą się dziać tak straszne rzeczy! — mówił do siebie Gucio, który patrzył na to ze zgrozą. Chciał się oddalić co prędzej, bo miękkie miał serce, ale niezwykłość widowiska przykuwała go do miejsca.

Zwierzątka były różnej wielkości i kształtów tak niezwykłych i dziwacznych, że nie tylko spotkać, ale wymyślić coś podobnego byłoby trudno. Jedno zwłaszcza, całe zielone z czerwonym oczkiem na przodzie ciała, zmieniało bezustannie swoją postać, to kurcząc się, to rozszerzając. Inne znów nadmiernie szerokie, z głową pokrytą włosami, podobne były do ryb, inne do woreczków i roślin mających pączki kwia-

towe — a inne jeszcze wyrzucały z siebie kulczki, które zrazu nieruchomo pływające po pewnym czasie zaczynały się ruszać jak żywe. Były też tam zwierzątka podobne do dzbanuszków, do cieniutkich niteczek i Bóg wie do czego!

Panna Anna mówiła nieraz Guciovi, że kropla wody ma dużo mieszkańców i że niektórym z nich, większym, przyjrzeć się można przez mikroskop — narzędzie przeznaczone do badania niewidzialnych gołym okiem drobiazgów — ale, naturalnie, puszczał to mimo uszu, jak wszystko, co miało jakąkolwiek styczność z nauką. Teraz jednak, gdy oczy muchy zastępowały mu najdoskonalszy mikroskop, gdy zobaczył to, czego oko ludzkie nie może dostrzec bez pomocy narzędzi, zrozumiał, że nauka jest potrzebna do poznania cudów tego świata i że bez niej człowiek chodzi po ziemi jakby na pół ślepy.

Poznawać wielkie dzieła ręki bożej, wiedzieć, jak drzewo rośnie i skąd kwiat bierze swoją barwę; wiedzieć, jak żyją zwierzęta, jak gwiazd-

ki chodzą po niebie i dlaczego raz się pokazują, drugi raz znów chowają; jednym słowem wiedzieć dużo, jak najwięcej — co za rozkosz! Człowiek wtedy na rośliny, na zwierzęta, na gwiazdy patrzy jak na swoich dobrych znajomych, co nie mają przed nim tajemnic. Gucio pojął teraz, że nie znał nic i nikogo; wszystko dla niego było obce, a rozumu uczył się dopiero od zwierząt i robaków, na które dawniej patrzył z pogardą lub deptał nogą, nie wiedząc nawet o tym. Co za upokorzenie!

IX. GUCIO OCALA ZAKLETĄ KSIĘŻNICZKĘ

„Może znajdę gdzie w cieniu drzew kilka kropli czystej rosy, których słońce jeszcze nie wysuszyło — myślał Gucio, przelatując nad kwiatami, zaglądnąc do kielichów i pomiędzy listeczki. — Zresztą, komu w drogę, temu czas!”

W powietrzu tymczasem zrobiło się duszno i parno; na niebie zaczęły się w różnych punktach ukazywać małe, szare chmurki i bie-

gać jedna za drugą, jakby się goniły; nareszcie zbiwszy się w jedną wielką gromadę przybrały barwę ołowianą. Ptaki i owady latały przy ziemi niespokojnie i uciekały do gniazd. Grube, pojedyncze krople zaczęły padać, potem błysnęło, rozległ się grzmot i rześista spadła ulewa. Gucio, zawsze roztrzepany, nie widział stopniowego gromadzenia się chmur i dopiero, gdy ciemno się zrobiło, gdy zaczęło grzmieć i błyskać, zobaczył, że burza nadchodzi. Zaskoczyło go to zupełnie niespodzianie o kilkadziesiąt kroków od strumienia płynącego dołem ogrodu. Przemokły, drżący, schował się między gałązki kaliny i uczepiwszy się mocno nóżkami jednego liścia, czekał, co dalej będzie.

Ogród rozpościerał się na wzgórzu i spuszczał coraz niżej do strumienia. Wskutek tego położenia górna połowa ogrodu obsychała bardzo prędko, ale za to dolna w czasie niewielkiego nawet deszczu doświadczała prawdziwych klęsk powodzi. Strugi płynące z góry wyżłobiały⁴⁹ w gładkiej ścieżce rowy, doły, kanały; porywały żwir,

⁴⁹wyżłobiały — dziś tylko: żłobiły. [przypis edytorski]

liście, gałązki, słowem wszystko, cokolwiek spotkały na drodze, i niosły w dół do strumienia, który wzbogacony takim przypiływem wody stawał się szerszy najmniej o pół łokcia. Pan H. zawsze starał się temu zaradzić, ale przy ważniejszych sprawach gospodarczych nie mógł sobie dotąd znaleźć czasu na tę drobnostkę.

Gucio przez szczeliny swego schronienia patrzył na te wodospady płynące z góry, na które, gdy był jeszcze człowiekiem, nie zwróciłby nawet uwagi, ale które w położeniu, w jakim się obecnie znajdował, wydawały mu się przestraszające. Bał się, żeby woda nie podkopała krzaka lub nie wyrwała go z korzeniem. Do tego wprawdzie nie przyszło⁵⁰, ale stało się coś innego, czego Guccio wcale nie przewidywał. Zerwał się silny wiatr i tak gwałtownie szamotał gałęziami, że z drzew odrywały się liście i latały w powietrzu jak ptaki lub padały na ziemię, a porywane prądem wody płynęły w dół do strumienia.

⁵⁰do tego (...) nie przyszło — dziś: do tego nie doszło. [przypis edytorski]

Gucio ani się spostrzegł, jak liść, do którego się przyczepił, popłynął wraz z innymi. Przeskakiwał on nieraz przez ten strumyczek nie zamaczawszy nóg nawet — a dzisiaj wydawał mu się olbrzymią rzeką, której wzburzone fale mogły w każdej chwili zatopić jego wątłą łódkę. Hałas potoków wpadających do tej rzeki, trzask gałęzi, szum wiatru, grzmoty i błyskawice, wszystko to przerażało go i ogłuszało. Zaczął po cichu odmawiać psalm *Kto się w opiekę* i zaledwie go skończył, wiatr przycichł, a przez chmury przedarł się promyk słońca i rozpędził czarne pokrywające błękit zasłony. Deszcz przestał też padać, a przez sam środek nieba rozpostarła się wspaniała siedmiobarwna wstęga tęczy.

Bałwany⁵¹ na strumieniu uspokoiły się także, a zielona łódka Gucia, posuwająca się ciągle z biegiem prądu, nie potrzebowała już obawiać się zatonięcia. Dokoła niej płynęły nieżywe owady, drobne gałązki, liście wierzbiny i kasztanów i kawałeczki słomy. Gucio wycią-

⁵¹*bałwan* — tu: potężna fala. [przypis edytorski]

gnął łapkę i pochwycił jedną słomkę cienką jak nitka, ale twardą, chcąc użyć jej zamiast wiosła. Próba udała się: łódka zrobiła obrót w prawo, obrót w lewo, a potem posłuszna woli żeglarsza płynęła środkiem strumyka, mijając od czasu do czasu całe gromady liści zbitych w jedną ławicę lub większe kawałki drzewa, z którymi spotkanie mogło jej grozić zatopieniem lub rozbiciem.

Żabki zielone, które się były pochowały przed burzą, wychodziły jedna po drugiej na spacer, a ropuchy dążyły w stronę zagonów kapusty, której liście starannie z liszek zazwyczaj obierały; drobne rybki wychylały łepki z wody i przypatrywały się Guciovi, towarzysząc jego łódce chwilami. Podróżny nasz przyglądał się wszystkiemu ciekawie, i rybkom, i porostom wodnym, i kamyczkom leżącym na dnie — bo wszystko to, a nawet jego łódka, wiosło i podróż wodna, były dla niego nowością.

Gdy on, pochłonięty cały przez nowe wrażenia, zapomniał zupełnie o minionym niedawno niebezpieczeństwie, jedna mała pszczołka

porwana wodą walczyła o życie. Ilekroć nadpływał liść czy gałązka, wyteżęła wszystkie siły, żeby się do nich dostać, ale zanim zdążyła, mijały obok niej. Już ledwie poruszała nóżkami... Gucio, zobaczywszy jej rozpaczliwe wysilenia, skierował ku niej swoją łódkę i za pomocą wiosła, którego końca uchwyciła się konwulsyjnie, pomógł jej wejść na pokład. Ale za ledwie dotknęła go nóżkami, zemdląca z osłabienia i przestrawu.

Gucio przełknięty skakał dokoła niej, pragnąc ją ratować, a nie wiedział, jak się wziąć do tego, zwłaszcza że nie miał przy sobie ani wody kolońskiej, ani anodyn⁵². Gdyby wiedział, gdzie mieszka doktor pszczelniczy, poleciałby po niego — ale gdzie go szukać? Niemało się biedny chłopiec natroskał, zanim odzyskała przytomność, i niemało nawyrzekał na „baby”, że od byle czego mdleją.

Otworzywszy oczy, pszczółka podziękowała w tkliwych wyrazach swemu wybawcy i za-

⁵²*anodyna* (z gr.) — środek uśmierający ból w daw. medycynie; często na bazie opium, eteru lub chloroformu. [przypis edytorski]

częła otrzepywać skrzydełka z wody i suszyć je na słońcu, składając i rozkładając. Przy tym przywracaniu toalety do porządku Guccio zobaczył złocistą spódniczkę, której poprzednio, przy wyciąganiu pszczołki z wody, nie dostrzegł, bo była na wskroś przemoknięta.

— Czy ty nie jesteś czasem zaklętą księżniczką? — zapytał, wzruszony niespodzianym widokiem tej, której szukał.

— Zgadłeś — odpowiedziała — ale skąd to wiesz? Kto ci o mnie mówił? Ja się od razu domyśliłam, żeś ty człowiek pokutujący, jak tylko zobaczyłam twoją czapeczkę. Ale powiedz mi, jak się nazywasz i za co pokutujesz?

Guccio nie wiedział, na które pytanie ma wprzód odpowiedzieć, tyle ich było razem — ale zaczął od ostatniego, to jest od własnej historii. Szczęśliwy, że znalazł nareszcie kogoś, kto go po ludzku zrozumie, opowiedział wszystko, nic nie ukrywając — chociaż wyznanie kosztowało go trochę. W dziesięć minut księżniczka знаła jego przygody tak dobrze jak on sam,

tylko wiadomość o chęci wyswobodzenia jej z ula przyjęła z uśmiechem politowania.

— Dobry z ciebie chłopiec — powiedziała — ale wiedz, że nikt na świecie nie zdoła wybawić ani mnie, ani ciebie, oprócz wróżki. Ona jedna tylko może odwołać zaklęcie, a kiedy to zrobi, nikt nie wie. Od czasu jak mnie dotknęła swoją złotą laseczką, nie widziałam jej ani razu, a pokuta moja trwa już cały tydzień.

— Jakże to było? — pytał Guccio.

Księżniczka Joasia westchnęła.

— Moi rodzice są bardzo bogaci — rzekła po chwili milczenia — mieszkają niedaleko stąd w pięknym pałacu, gdzie jest pełno obrazów, zwierciadeł, dywanów i marmurów. Mama kochała mnie bardzo i była ze mnie dumna, uczyłam się bowiem dobrze i moja nauczycielka wychwalała mnie zawsze. Nie było w tym jednak mojej zasługi, bo miałam doskonałą pamięć i dość mi było przeczytać coś parę razy z uwagą, żeby móc prawie dosłownie powtórzyć. Pomimo to, oprócz mamy, nikt mnie w domu nie lubił, bo byłam kapryśna, popeę-

dliwa, a wady te mego charakteru najwięcej się dawały uczuwać służącym, którymi pogardzałam, uważając ich zawsze za istoty niższe od siebie. Stara Marianna, która mnie wypiastowała⁵³, najwięcej ucierpiała. Nigdy w niczym nie mogła mi dogodzić: przy czesaniu krzyczałam zawsze wniebogłosy, że mnie targa, aż mama przybiegała łajać ją za nieostrożność. A co miała z ubieraniem i myciem! Nieraz biedna skrycie płakała, nie śmiąc się nawet poskarżyć.

Jednego dnia miałam jechać z mamą na wizytę w sąsiedztwo i koniecznie domagałam się, żeby mi włożono niebieską aksamitną sukienkę, świeżo przysланą przez babcię z Warszawy; ale mama powiedziała, że to byłoby niewłaściwe, z powodu wielkiego gorąca na dworze, i kazała mi włożyć białą muślinową. Zła byłam okropnie, i gdy Marianna przyniosła mi tę suknię, nad której prasowaniem i rurkowaniem męczyła się od rana, powiedziałam jej z gniewem, że brzydko jest uprana i zgniótłszy suknię

⁵³*piastować* — pielęgnować, niańczyć dziecko; por. *piastunka*: niania. [przypis edytorski]

w rękach rzuciłam z pogardą na ziemię. Oburzona Marianna powiedziała mi wówczas, że mam złe serce i że woli mojej mamie podziękować za służbę, niż usługiwać takiej grymaśnicy. Zawrzałam gniewem i przyskoczywszy do niej uderzyłam ją z całej siły. Ach, Guciu! Gdybyś wiedział, jak na mnie spojrzała!... powiadam ci, że nie zapomnę tego do końca życia: była w jej wzroku taka boleść, że aż zdrętwiałam przerażona własnym czynem. Stałam tak chwilę bez ruchu patrząc, jak wychodziła ocierając łzy fartuchem, jak szła przez ogród do oficyny. Gdy mi zniknęła z oczu, rzuciłam się ku drzwiom, chcąc ją dogonić i ułagodzić jakimś podarkiem, ale zamiast niej spotkałam wróżkę. Długa jej szata czarna jak noc mieniła się iskrami, a spod chustki pokrywającej głowę wymykały się siwe kosmyki włosów. Twarz miała mocno pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów.

— To ta sama, co mnie zaczarowała w mu-
chę — przerwał Gucio.

— Oczy jej patrzące przez wierzch tych okularów miały błysk nadzwyczajny, a tak patrzyły przenikliwie, że czułam, jak mnie przeglądają na wskroś.

— Zupełnie tak jak ja.

„Niedobra dziewczyno — przemówiła do mnie surowo — nie dość, że nie umiesz uszanować pracy ludzkiej, ale jeszcze ośmieliłaś się podnieść rękę na kobietę, co cię wypiastowała!... Popełniłaś zbrodnię, która nie może pozostać bez kary. Nie warta jesteś żyć w społeczeństwie ludzkim, więc pójdiesz w służbę do najpracowitszych istot w świecie, do pszczół, i tam w pocie czoła od rana do wieczora pracować będziesz dopóty, dopóki nie nauczysz się szanować pracy i nie zrozumiesz całej wielkości twego występku. Zamieniam cię w pszczołę roboczą!”

To powiedziawszy, dotknęła złotą laseczką mego czoła i poczułam, że się ze mną dzieje coś dziwnego. Stawałam się coraz mniejsza, mniejsza, aż spostrzegłam, że moja dawna postać gdzieś się podziała, a ja jestem tylko ma-

łym, drobnym owadkiem. Rozpacz mnie ogar-
nęła. Chciałam wróżkę błagać o litość, chcia-
łam ją prosić, żeby mi dała czas do poprawy,
a będę odtąd zupełnie inna; ale zniknęła tak
nagle, jak by się ziemia pod nią rozstała. W po-
wietrzu tylko było słycać jakieś dziwne szme-
ry i świsty. Zaczęłam wołać, krzyczeć, płakać,
wzywać ratunku, ale nikt mi nie odpowiadał,
bo nikt mnie nie mógł słyszeć; nie miałam już
ludzkiego głosu, tylko brzęczałam tak jak teraz.
Ach, jakaż ja byłam nieszczęśliwa!

— Tak samo zupełnie było ze mną — szep-
nął Gucio, kiwając smutnie głową.

X. STATEK GUCIA PRZYBIJA DO KRÓLESTWA PSZCZÓŁ

— Dalsze moje przygody bardzo były podob-
ne do twoich — mówiła dalej Joasia. — Za-
poznałam się z tymi i owymi owadami, trochę
błądziłam w drodze, aż nareszcie dwie pszczo-
ły, przysłane przez wróżkę, wzięły mnie między

siebie i przyłączyłyśmy się wszystkie do roju zawieszzonego na drzewie.

— Jak żyję, nie widziałem jeszcze roju — odezwał się Guccio.

— O, to jest rzecz bardzo ciekawa — mówiła dalej Joasia. — Wyobraź sobie wielką gromadę pszczół zbitych w jedną masę; z daleka wygląda to jak czarny worek wiszący na gałęzi, szerszy u góry, a węższy u dołu, albo jak duże winne grono. Pszczoły trzymają się jedna drugiej nóżkami. Moje towarzyszki uczepiły się innych, każda podała mi dwie nóżki, przykazując trzymać się ich mocno i nie puszczać. Tak wisiałyśmy z godzinę. Już mnie zaczęło boleć całe ciało od niewygodnego położenia, gdy przyszedł jakiś człowiek w płóciennym ubraniu i w gęstej drucianej masce okrywającej mu twarz i głowę, a w ręku trzymał plecioną kobiałkę. Człowiek ten zaczął kropić nas wodą, a potem mocno trząść gałęzią, do której rój był przyczepiony, i po chwili spadłyśmy w tę kobiałkę, a on nas zaraz nakrył płótnem i zawiązał. Przelękniona panującą wśród

nas ciemnością i hałasem, zaczęłam się pytać moich towarzyszek, co to znaczy i co z nami dalej będzie; ale one uspokoiły mnie, mówiąc, że nie potrzebuję obawiać się żadnego niebezpieczeństwa i że odbywają się właśnie przenosiny królowej matki wraz z całym jej dworem do nowego królestwa.

— Nic nie rozumiem — wtrącił Gucio.

— Ja także nie mogłam pojąć tego od razu, ale pszczoły wyjaśniły mi wszystko. Królowa panowała w bogatym i potężnym ulu, otoczona powszechną czcią i miłością poddanych. Ale gdy następczyni tronu, wychowana odpowiednio do swej wysokiej godności na najpożywniejszych pokarmach, doszła do pełnoletności, królowa ustąpiła jej swego ula, a sama przenosi się do innego, wyszukanego przez poselstwo umyślnie w tym celu naprzód wysłane, i tam zakłada nowe państwo, czyli nową rodzinę. Dwie królowe nie mogą żyć razem obok siebie w jednym państwie, bo to mogłoby się stać powodem do zamieszkań i buntów.

— Dlaczegoż to matka musiała ustąpić miejsca córce? — przerwał Gucio, który w tym widział brak uszanowania i miłości młodszych dla starszych. — Dlaczego córka nie szukała sobie innego ula? Jak mogła zgodzić się na taką ze strony matki ofiarę?

— Ja tak samo myślałam — odpowiedziała Joasia — ale pszczołki wytłumaczyły mi, że tak być musiało. Następczyni tronu młoda i nie-doświadczona nie umiałaby sama wszystkiego dobrze urządzić; więc królowa, jako troskliwa i kochająca matka, wolała zostawić jej państwo już urządzone w najdrobniejszych nawet szczegółach. Kiedyś ona tak samo ustąpi znowu swojej córce. Taki już porządek rzeczy na świecie, że matki zawsze poświęcają się dla dzieci.

Guciovi przypomniła się jego mateczka i westchnął.

— Opuszczając ul — mówiła Joasia dalej — królowa zwróciła się do dawnych poddanych pytając, kto zechce jej towarzyszyć do nowego królestwa, i w tej chwili otoczył ją liczny

zastęp; a gdy opuściwszy ul rodzinny na zawsze siadła na gałęzi jednego z drzew ogrodu, zastęp towarzyszący jej zbił się przy niej w gęstą masę, jakby tworząc mur żywy dokoła swej władczyni.

— Z ilu też osób składał się ten dwór? — zapytał Gucio.

— Z dwudziestu tysięcy — odpowiedziała Joasia.

— Ależ to całe wojsko! — zawołał.

— To wystarczało zaledwie na początek. Człowiek, o którym ci mówiłam, że nas strząsnął z gałęzi, przeniósł nas do nowego, wcale jeszcze nie zamieszkałego ula, w którym królowa matka założyła swoją stolicę. Pod jej rozumnym panowaniem państwo coraz bardziej wzmaga się w siły i teraz jest nas już przeszło trzydzieści tysięcy.

— Czy nie żartujesz ze mnie? — odezwał się Gucio z niedowierzaniem.

— Będiesz mógł wkrótce sam się o tym przekonać, bo powoli zbliżamy się do pasieki. Uli wszystkich jest tam przeszło pięćdziesiąt,

więc wszystkie razem pszczoły składają kilkomilionową armię, jakiej nie może posiadać żadne z ludzkich państw w Europie.

— Czy ja będę mógł obejrzeć jeden ul?

— Dlaczego nie!

— A jeżeli tam stoją strażę z wycelowanymi żądłami?

— Nie obawiaj się niczego. Człowiek pokutujący jest zupełnie bezpieczny w całym zwierzęcym świecie: idzie o jego poprawę i naukę, nikt mu więc nie szkodzi, ale każdy otacza go pomocą i opieką. Choćbyś był nawet mniejszy od mrówki, nikt się nie targnie na twoje życie.

— Czy oprócz mnie i ciebie jest więcej ludzi pokutujących?

— Zdarza się od czasu do czasu, że wróżka kogoś zamieni to w rybkę, to w ptaszka, to w owada jakiegoś; ale każdemu da znak wyróżniający go od innych stworzeń tego samego rodzaju, który znaczy to samo, co u ludzi paszport wzywający władze policyjne do dawania posiadającej go osobie pomocy i opieki w razie

potrzeby. Ty twój paszport nosisz na głowie, a ja mój u pasa.

— Czy ty umiesz także miód nosić? — zapytał Guccio, patrząc na swoją towarzyszkę z ciekawością.

— Umiem — odrzekła — ale nie zawsze używają mnie do tej roboty. Służę za popychadło, a więc cały dzień jestem na posyłkach, albo też spełniam najniższe posługi: czyścić komórki woskowe, ul zamiatać, to są moje codzienne obowiązki. Od rana do nocy jestem na nogach i nie ma kiedy odpocząć, chociaż pot się leje ze zmęczenia. Teraz dopiero rozumiem, co to jest praca i ile się zawsze namęczyła dla mnie ta biedna Marianna...

— Biedna Joasiu — powiedział Guccio z głębokim współczuciem — jakże ty musisz się czuć nieszczęśliwa, że cię zmuszają pracować tak bez odetchnienia.

— Prawda, czuję się bardzo nieszczęśliwa, ale nie dlatego, że mi każą pracować, tylko z powodu tęsknoty do rodziców i wyrzutów su-

mienia za krzywdę wyrządzoną Mariannie. Czy ona mi kiedy przebaczy? Czy zapomni?

— Ach prawda — westchnął Guccio — wyrzuty sumienia najwięcej dolegają: one i mnie nie dają spokoju...

Zielona łódka przepływała teraz obok wspaniałych nimf wodnych.

— Zatrzymaj tu swój statek — prosiła Joasia — bo muszę spełnić zlecenie, z którym wysłała mnie królowa, a którego z powodu burzy spełnić jeszcze nie mogłam. Nasza Najjaśniejsza Pani za wielki przysmak uważa potrawę przyrządzoną z miodu i pyłku tych pięknych kwiatów wodnych i oświadczyła, że dziś go mieć chce na obiad.

— To królowa jada taką potrawę?

— Nie tylko królowa; wszystkie młode pszczoły ze smakiem ją jadają. Zaczekajże na mnie chwilkę, bo muszę tego pyłku zbierać.

— A w cóż ty go weźmiesz, kiedy nie masz z sobą żadnego naczynia?

— O, mam ja z sobą koszyczki — odpowiedziała — zobaczysz zaraz, jak je zacznę napełniać.

„Pewnie je pogubiła w wodzie w czasie burzy — pomyślał Gucio — i zapomniała o tym. Ciekawym⁵⁴, co też zrobi, gdy spostrzeże swoją pomyłkę. Może królowa ukarze ją za to!”

Ale Joasia nie troszczyła się wcale o swoją zgubę. Gdy nie wychodziła długo z kielicha kwiatu, Gucio, ciekawy, jak też sobie radzi, położył wiosło i już chciał udać się za nią, gdy Joasia cała obsypana pyłkiem wyszła ze środka kwiatu i uniósłszy się nad nim w powietrze, zgarniała z siebie pyłek delikatnymi szczoteczkami, umieszczonymi na przednich i środkowych łapkach, do głębokich wyźłobień, czyli koszyczków, jakie miała na tylnych nóżkach. Tam gromadziła pyłki i ugniatała, żeby móc jak najwięcej zanieść z sobą do ula. Gucio nie mógł się wydziwić, jak ona takich trudnych rzeczy mogła dokonywać w powietrzu, bo całe jej ciało pracowało, i skrzydełka i nóżki. Joasia nie

⁵⁴*ciekawym* — tu skrót od: ciekawy jestem. [przypis edytorski]

wiedziała nawet, że ją podpatrują; dopiero, gdy już ukończyła zupełnie swoje ładowanie, zobaczyła Gucia.

— Już jestem gotowa — rzekła do niego — spieszmy się teraz, bo Najjaśniejsza Pani może gniewać się na mnie za spóźnienie. Moglibyśmy przelecieć ten kawałek na skrzydłach, ale ja tak lubię płynąć łódką! Dalej, bierz się do wiosła!

Gucio w milczeniu spełnił, co mu kazano, i sterując ku pasiece, którą z dala było już widać, rozmyślał nad koszyczkami pszczoły; wydawały mu się one czymś tak cudownym i nadzwyczajnym jak wszystko, co od wczoraj spotykał w swej podróży. Nagle wiosło zawadziło o coś w wodzie i łódka zatrzymała się. Gucio się pochylił i wyciągając wiosło do góry zawołał:

— Co za prześliczne podwodne stworzenie! Patrz no, patrz, Joasiu, całe srebrne. Czy to rybka, czy co innego?

I wskazywał wiosłem zwinne stworzenie przesuwające się szybko obok nich.

— Nie znasz go? To jest topnik, jedyny pajak umiejący pływać i wyborny nurek. Najulubieńszym jego spacerem jest przechadzka po łądygach roślin podwodnych.

— On jest cały okryty srebrnym płaszczem, Joasiu! Czy on zawsze chodzi tak bogato ubrany?

Księżniczka roześmiała się.

— Co też ty mówisz! W srebrnym płaszczu topnika nie ma ani odrobiny srebra; on jest cały pokryty pęcherzem powietrznym. Pęcherz ten trzyma się mocno włosków pokrywających jego ciało, a światło i woda sprawiają, że wygląda jak srebro.

— Czy on przędzie nici tak samo jak każdy pajak?

— Ho, ho, i jak jeszcze! Toć to w jego sieci zaplątało się twoje wiosło. Biegły ten tkacz umie także rozmaite sztuczki. Wyobraź sobie, że on swymi gruczołkami przodkowymi, mieszczącymi się na końcu ciała, zatrzymuje duże bańki powietrza, unosi je z sobą pod wodę, oprzędza wokoło i przymocowuje do gałązek,

tworząc sobie z tego mieszkanie. O, czy widzisz tam na prawo jego srebrny pałac podobny do dzwonu nurków?

— Czy ten nie większy od naporstka?

— Ten sam. Wszedł on w tej chwili do niego i czatuje na owady wikłające się w sieci, które pod wodą porozciągał. Topnik żyje w swoim pałacu bardzo wygodnie: ma czym oddychać, a jak się przedzeniem zmęczy, to się zabawia polowaniem.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Czytałam w książkach, a od czasu, jak jestem zaklęta w pszczołę, przylatuję tu często po pyłki lub słodycze i przez wodę jakby przez szybę szklaną przypatruję się życiu tego ciekawego zwierzątka.

Gucio bardzo niemiłego doznał uczucia, że jego towarzyszka, chociaż „baba”, rozumniejsza była od niego.

Zmiana krajobrazu odwróciła myśli jego w inną stronę. Znajdowali się w głębi lasu, w samym środku wielkiego miasta pszczół. Gmachy drewniane, na wysokich nogach stały rze-

dami wśród zieleni, a wkoło nich uwijały się tłumy pracowitego narodu.

— Możesz puścić swój statek na wolę wiatrów — rzekła do niego Joasia, bo już przybyliśmy do celu: ten oto pierwszy gmach z brzegu to zamek naszej królowej.

Gucio przypatrywał się z ciekawością spadzistemu dachowi zamku, bijącemu w oczy z daleka czerwoną barwą, ścianom niebiesko pomalowanym i obitym słomą z przodu i po bokach; balkonom znajdującym się przy niektórych okienkach, a najwięcej wysokim nogom, na których stał zamek.

— Dziwny kształt — zauważył — wygląda to jakby bocian stojący w trawie. Nie widzę nigdzie bramy, tylko dwa malutkie okienka: jedno u góry, drugie u dołu.

— Jest jeszcze i z boku — odpowiedziała Joasia. — Cóż chcesz! Pszczoły nie mogą mieszkać tak samo jak ludzie. Zresztą one mają nieprzyjaciół, więc dla zabezpieczenia od nich ludzie budują im zamki warowne.

— Pszczoły mają nieprzyjaciół! — powtórzył ze zdziwieniem. — A to jakich?

— O bardzo wielu: myszy, ptaki, osy, motylce, trupie główki.

— Co też ty mówisz! Alboż ludzie chodzą po śmierci? Mama mówiła mi zawsze, że nie trzeba wierzyć w takie brednie.

— Ależ to nie duch żaden, tylko ćma szara, nazywająca się tak dlatego, że nosi na grzbiecie żółty znak, podobny z kształtu do trupiej główki. W nocy, gdy pszczoły siedzą cicho, wciska się ona do ula, miód wyjada, roboty im psuje, nawet czasem obiera tam sobie mieszkanie, bo żądło pszczół nie wnika w jej ciało przez grubą skórę, jaką ma na sobie. Toteż choćby człowiek porobił większe wejścia do ula, pszczoły zaraz by je zamurowały.

— Czy wszystkie pszczoły na świecie mieszczą w takich zamkach z kolorowymi dachami i ścianami obitymi słomą? — zapytał Gucio.

— O nie, w każdym kraju mają inne mieszkania; u nas te ozdobne budynki niedawno weszły w użycie. Po większej części pszczoły miesz-

czą się w wysokich pniach wydrążonych wewnątrz, nakrytych małym słomianym daszkiem i wyglądających jak wieże albo w dziuplach drzew, po lasach. Te oto budynki, które widzisz, są dla pszczoł wygodniejsze, a przez to więcej sprzyjające gromadzeniu miodu. Ale już dość tej gawędki, rozwijaj skrzydła i lećmy!

XI. KRÓLOWA DAJE GUCIOWI POSŁUCHANIE

Wkrótce potem wchodzili oboje na duży pochyły pomost, wiodący do okienka będącego głównym wejściem. Towarzyszka Gucia, cała obładowana pyłkiem, tak była zmęczona, że ledwie szła. Niedaleko okienka nogi odmówiły jej posłuszeństwa i ześlizgnęła się na dół; ale mała barierka otaczająca pomost dookoła przeszkodziła jej upaść w trawę.

— Ach, jakie też wy, baby, jesteście słabe! — zawołał Gucio przelękniony. — Pewnieś sobie nóżkę złamała⁵⁵?

⁵⁵*pewnieś (...)* złamała — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: pewnie złamałaś. [przypis edytorski]

— Bądź spokojny, nic mi się nie stało — odrzekła podnosząc się rażno — tylko troszeczkę pyłku rozsypałam. Widzisz, ten pomost i tę barierkę ludzie umyślnie zbudowali, żeby nam było lżej wchodzić z ładunkiem i żeby nas zabezpieczyć od spadania. Bardzo oni pamiętają o wygodach i potrzebach pszczół, za co też potem sowitą w miodzie biorą zapłatę.

U wejścia stało kilka pszczół będących na straży i te na widok przybywających wysunęły się ku nim na pomost z wycelowanymi żądłami; ale księżniczka oznajmiła przybycie człowieka pokutującego i prosiła, aby go wpuszczono.

Przez chwilę słychać było tylko za okienkiem równy odgłos grubego mrużenia, jakby echo mielenia w żarnach, nareszcie jedna z pszczół ukazała się i wyciągnęła łapkę.

— Podaj swój paszport — szepnęła mu Joasia.

Gucio, domyśliwszy się od razu, o co idzie, zdjął swoją czerwoną czapeczkę i podał przez okienko. Wielka odźwierna, obejrzawszy cza-

peczkę z uwagą, zwróciła mu ją natychmiast mówiąc, że może wejść. Joasia szła pierwsza, a on za nią, i zaraz na początku dziwny widok uderzył jego oczy: przy okienku stało kilka robotnic wachlujących skrzydełkami tak pracowicie, że na przychodzących żadnej nawet nie zwróciły uwagi. Wachlowanie to wywoływało lekki, orzeźwiający prąd powietrza. Gucio stanął zdziwiony.

— Joasiu, dlaczego one się tak męczą? — zapytał.

— Odświeżają powietrze — odpowiedziała. — Jest to konieczne dla utrzymania zdrowia mieszkańców ula. Chodźże, chodź ze mną, nie zatrzymuj się, bo i tak już bardzo się spóźniłam.

Obejrzawszy się jeszcze kilkakrotnie na wachlujące pracownice, Gucio szedł za Joasią, która prowadziła go wąskim korytarzem przez cały szereg arkad sztucznie pokrzyżowanych.

— Powiedz mi, dlaczego te korytarze są tak ciasne, że ledwie można się nimi przecisnąć — zapytał znowu swojej przewodniczki.

— Żeby trupia główka, która jest bardzo gruba i opasła, nie dostała się do ula. Zostań tu tymczasem, Guciu: pójdę do królowej i poproszę o posłuchanie dla ciebie.

To powiedziawszy, oddaliła się.

Długa chwila upłynęła, zanim Gucio oswoił się z panującą w ulu ciemnością i zdołał rozróżnić znajdujące się w nim przedmioty. Stały tam plastry miodowe niby ściany, oddalone od siebie na szerokość małego palca; wiele komórek w ścianach było wypełnionych i pozamykanych woskowymi pokrywami, a wiele próżnych, przygotowanych dla mającego się z pola przynieść miodu. Przypatrując się temu, Gucio dziwił się równości komórek i jednostajnej grubości ich ścianek. Zdawałoby się, że nauka rozmierzania i budowania jest pszczołom doskonale znana.

Koło niego tłumno⁵⁶ było i gwarno: pszczoły pracowały jak robotnicy w fabryce. Jedne znosiły materiały: pyłki kwiatowe w koszykach, słodkie soki kwiatów w żołądku, a na

⁵⁶*thumno* — dziś: tłumnie. [przypis edytorski]

łapkach sok lepki, żywiczny, którym zalepiały szpary i otwory niepotrzebne; inne czyściły i porządkowały, inne jeszcze pomagały swoim siostronom zdejmować z koszyczków i ze skrzydeł pyłek, którym tamte były obładowane. W jednej stronie pomiędzy tłumem skrzętnych robotnic wszczął się hałas i wołanie jakby na trwożę: Gucio rozumiejący języki wszystkich stworzeń, jakie tylko spotykał od chwili swego zaczarowania, dowiedział się, że plaster jeden począł się osuwać i grozić obaleniem. W jednej chwili pszczoły złożyły naradę, zaczęły znosić materiały i zabrały się do budowania słupów, arkad i podpórek. Na Gucia, zdawało się, że nikt nie zważa, jakby go nie było — ale on zważał na wszystko i czuł się zawstydzony widokiem pracowitości drobnych owadów.

Jedna zwłaszcza pszczołka bardzo go zaintrygowała. Z początku zdawało mu się, że ona nic nie robi; ale przyjrząwszy jej się baczniej, zauważył, że spomiędzy obrączek jej ciała wydziela się biała przezroczysta łuszcza. Zdziwiło go to bardzo i gdy jego przyjaciółka Joasia

wróciła, wzywając go do królowej, wyjawiał jej powód zdziwienia, pytając, co to ma znaczyć.

— Ona wosk robi — odpowiedziała.

— Wosk? Czyż wosk nie zbiera się z kwiatów tak samo jak miód?

— Gdzie tam! Wosk jest to po prostu tłusty pot, który pszczoła z siebie wydziela w postaci łuszczyki; łuszczyka ta zmieszana ze śliną pszczoły, jak na przykład glina z wodą, jest właśnie tym materiałem, z którego się buduje plastry z komórkami. To tylko słodycz i pyłek zbiera się z kwiatów. Ale królowa matka nie może czekać! Chodźmy już, chodźmy, po skończonym posłuchaniu oprowadzę cię po ulu i wszystko pokażę.

— Dlaczego nazywacie ją matką? — pytał Guccio, którego wszystko dziwiło.

— Bo ona jest prawdziwą matką całego rodu; ona jedna znosi jajka, z których wylęgają się później pszczoły robocze. Nie myśl, że królowa pędzi próżniacze życie: dużo się ona namęczy, zanim zniesie przeszło tysiąc jaj dziennie i każde umieści we właściwej komórce.

Gucio postępował w milczeniu za swoją towarzyszką między ścianami plastrów i gdy kilka minęli, zobaczył kratę metalową sięgającą od góry aż do dołu, a Joasia objaśniła go, że ta krata właśnie przegradza mieszkanie królewskie od reszty budynku.

Mieszkanie to nie odznaczało się niczym nadzwyczajnym. Takie same tam znajdowały się ściany plastrowe, tylko w komórkach mało było miodu; zapełniało je za to co innego: w jednych leżały jajeczka tylko co zniesione, w postaci małych białych niteczek, w innych widać było zwinięte w kłębek robaczki, białe także, leżące nieruchomo, jakby śpiące — i do tych zaglądały raz po raz pszczoły niosąc im pożywienie; inne jeszcze komórki pozamykane były ciemnymi wypukłymi pokrywami.

Jej Królewska Mość siedziała poważnie u góry na plastrze otoczona licznym dworem, baczny na każde jej skinienie, a jedna mała pszczołka podawała jej trąbką pożywienie. Okazała postawą i wzrostem królowa tak bardzo różniła się od innych pszczoł, że od pierwszego rzu-

tu oka można w niej było poznać monarchię. Strój też okrywał ją bogatszy, odpowiedni piastowanej przez nią godności. Pierścienie brzuszka miała złocisto ubarwione a łapki delikatne, bursztynowe, ale bez koszyczków i szcoteczek, te bowiem nie były jej wcale potrzebne, jako nigdy nierobiącej wycieczek na kwiaty po słodycze. Po komnacie przechadzała się poważnie jakaś dostojna osobistość, odznaczająca się także wzrostem, dorodnością postaci i różkami na głowie większymi, niż miały wszystkie inne pszczoły. Osobistość ta spostrzegłszy wchodzącego Gucia, jakby wstydząc się swojej bezczynności, podjęła z ziemi cieniutką długą słomkę i stanęła z nią przy kracie, pełniąc niby obowiązki marszałka dworu.

— Kto jest ten jegomość? — zapytał po cichu Gucio swej przewodniczki.

— To książę Truteń, syn królowej: on i jego bracia, których jest kilkuset, dotrzymują towarzystwa Najjaśniejszej Pani. Ale cicho bądź, bo ona teraz na nas patrzy.

Jej Królewska Mość, obtarłszy pyszczek, odprawiła służebną pszczołkę majestatycznym ruchem i zeszła ku dołowi. Utopiwszy bystre spojrzenie swych pięciu ócz w Guciu, który z pewną nieśmiałością postępował ku niej, przemówiła, zwracając się do Joasi:

— Czy to jest ów człowiek pokutujący, o którym mi opowiadałaś?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani — odpowiedziała, i trącąc Gucia, szepnęła doń — Odezwiż się! Stoisz jak niemy. Co królowa o tobie pomyśli!

Gucio zdjął czerwoną czapczkę i obracając ją w łapce rzekł, jękając się trochę:

— Chciałem prosić Waszą Królewską Mość o pozwolenie zwiedzenia całego ula.

— I owszem — odrzekła łaskawie — znam twoją historię, chłopcze, i wiem, że masz wrodzony wstręt do pracy.

Gucio spuścił głowę.

— Może nauczysz się ją szanować i cenić, tak jak się nauczyła twoja przyjaciółka Joasia, gdy się rozpatrzysz w urządzeniach naszego pań-

stwa. Joasiu, oprowadź gościa i pokaż wszystko, co tylko może go interesować: nasze zapasy, warsztaty, zakłady wychowawcze, a nie zapomnij przy tym poczęstować go miodem.

To powiedziawszy, Jej Królewska Mość dała znak łapką, że posłuchanie skończone i odeszła w górę ze swoim orszakiem. Joasia miała nadzieję, że się ono przeciągnie dłużej; ale upał na dworze był straszny, gorąco w ulu trudne do zniesienia, więc monarchini skinęła na swoje damy honorowe, które spuściwszy się na sam dół ula rozpostarły skrzydełka i zaczęły nimi wachlować w taki sam sposób, jak te, które Guccio widział przy wejściu. Ożywczy prąd świeżego powietrza dochodził aż do królowej.

— Jakież wrażenie zrobiła na tobie królowa matka? — spytała Joasia, gdy się nieco oddalili.

— Przyznam ci się — odrzekł z pewnym zakłopotaniem — że wszystko, co tu widzę, jest dla mnie zupełnie nowe. Jak żyję, nie widziałem nigdy żadnego króla inaczej jak na obrazku i to byli wszystko ludzie z wąsami i koro-

nami na głowach, ale żeby owady rządziły poddanyymi, to mi się wydaje tak dziwne...

— Królowa nie rządzi, tylko panuje, bo gdzie jest zgoda i miłość wzajemna, gdzie każdy obowiązki swoje spełnia, tam wszelki rząd jest zbyteczny. Pszczoły robocze nie uważają się za poddanych, tylko za dzieci, a królową otaczają wygodami, czcią i miłością jako matkę rodu.

— Dlaczego księżę Truteń ma taką smutną minę?

— A, bo wie, że niedługo pójdzie na wygnanie.

— Na wygnanie? Cóż on takiego zrobił? Czy uknuł spisek na życie królowej, czy może buntował pszczoły albo wszedł w stosunki z nieprzyjaciółmi państwa?

— O nie, tylko widzisz, on nie lubi pracować; więc przez lato, gdy w ulu jest dużo miodu, pszczoły go żywią; ale gdy zima nadchodzi i w spizarniach trzeba zaprowadzić pewne oszczędności, wtedy księżę zmuszony jest opuścić państwo, w którym jest tylko próżnym

ciężarem. Jeżeli się wzdraga, pszczoły go zabijają.

— Ależ to jest okropne! — zawołał ze zgrozą.

— Nie, to jest tylko sprawiedliwe, próżniak bowiem niewart żyć na świecie. On sam to czuje i ilekroć ktoś obcy wejdzie do ula, księżę udaje zawsze, że coś robi.

Krew uderzyła do głowy Gucia tak gwałtownie, że myślał, iż go zaleje. „Próżniak niewart żyć na świecie...” — okrutny ten, ale sprawiedliwy wyrok wgryzał mu się w mózg i w serce. Zdawało mu się, że ściany ula zawałują się i zgniotą jego wątłą postać swoim ciężarem albo że zginie taką samą śmiercią jak księżę Truteń. Był próżnym ciężarem tylko dla swoich rodziców i sam się dziwił, że Bóg pozwolił mu żyć do tej pory. Jakże ten dobry Bóg był cierpliwy, że czekał na jego poprawę dotąd; jakże dobrzy byli rodzice, że go dotąd nie wypędzili z domu!

— Co ci pokazać najprzód — pytała go przewodniczka — może komórki, w których wychowują się młode pszczołki? One są tutaj.

— Dobrze — odrzekł machinalnie, nie przestając porównywać siebie z księciem.

— Patrz — mówiła Joasia, pokazując mu cały szereg — oto są komórki, w które królowa matka przed trzema dniami poskładała jajka. Z nich wylęgają się gąsieniczki, ale nie wychodzą z komórek, bo pszczoły robocze karmią je smacznym, pożywnym mleczkiem, przyrządzonym z przetrawionego we własnych ich żołądkach pyłku kwiatowego, wody i miodu. Po ośmiu dniach gąsieniczki oprzędzają się cieniutką i jak śnieg białą tkaniną, w której wyglądają jak w koszulkach, i w poczwarki się zamieniają — a pszczoły robocze zalepiają ich komórki woskiem. Zamknięcie to trwa dwanaście dni, po czym poczwarka w pszczołę przemieniona pragnie wydostać się z zamknięcia. Ale uważaj tylko, czy słyszysz ten szmer tu obok?

— Słyszę — odpowiedział — co to jest?

— Cicho bądź i uważaj.

Gucio był posłuszny: milczał i nie spuszczał oka z komórki, z której szmer wychodził. Po chwili w komórce zrobił się otworek tak mały jak od ukłucia szpilką, a w nim ukazały się małe kleszczyki pracujące nad rozszerzeniem go. Z każdą chwilą otworek powiększał się, po czym wysunęły się przezeń dwie cieniutkie łapki. Następnie łapki te uchwyciły się silnie brzegów komórki, zrobiły ostatnie wysilenie i wyszła z więzienia młodziutka siwa pszczołka, cała opylona. Skrzydełka jej były zmięte, a ona sama z osłabienia zaledwie się trzymała na nogach. W tejże chwili przybiegły dwie pszczoły robocze, zaczęły ją całować, oczyszczać z pyłu, prostować skrzydełka, nakarmiły świeżym miodem i zabrały z sobą.

— To pewnie guwernantki⁵⁷! Ale gdzie one ją prowadzą? — pytał Gucio.

— Do innych młodych pszczołek, jej siostrzyczek, które zajmują się łatwiejszymi pracami domowymi. Za kilka dni będą ją uczyły latać.

⁵⁷*guwernantka* — nauczycielka i wychowawczyni domowa. [przypis edytorski]

— A te wielkie komory owalne, kształtu jajowatego, co to jest?

— To są mateczniki: w nich pszczoły robocze troskliwie o następstwo tronu, w razie zgonu królowej lub przeniesienia się przez nią z częścią pszczół do innego państwa, przysposabiają matki. Umyślnie budują im duże komórki, aby gąsieniczki, mając więcej miejsca, lepiej się rozwinęły i uzdolniły do znoszenia jajek w wielkiej ilości. Z tego też względu królowy bywają najlepszą i najposilniejszą potrawą karmione.

— Czy pszczoły robocze nie znoszą wcale jajek?

— Nie. Chodź teraz zobaczyć nasze zapasy. Znajdują się one w górze, najbliżej dachu.

I poprowadziła go ku górze; komórki tam były dłuższe, plastry grubsze, a przejścia między nimi węższe.

— Patrz — mówiła, wskazując łapką — oto są różne gatunki miodu: ten ciemny jest wrzosowy, ten jaśniejszy gryczany, ten biały aka-

cyjowy, ten zaś zielonawy pochodzi z lip i rze-
paków.

— Czy pszczoły z każdego gatunku kwia-
tów osobno słodczy zbierają? — zapytał Gucio.

— O nie! Zbierają z takich, jakie po ko-
lei napotykają, ale miód nabiera tego lub owe-
go smaku od tego, jakich więcej kwiatów by-
wa kwitnących w tej lub owej porze. Któregoż
chciałbyś skosztować?

— Spróbuję lipowego — odrzekł po na-
myśle — słyszałem, że ma być najsmaczniejszy.

Joasia otworzyła jedną komórkę i Gucio za-
czął wsysać trąbką wyborny gęsty miodek. Gdy
zaspokoił pierwsze pragnienie, pszczołka zale-
piła komórkę, a otworzyła akacjową, zachęcając
go także do skosztowania. Tak kolejno próbu-
jąc wszystkich gatunków miodu, zachwycał się
jego przedziwnym smakiem i zapachem, dzi-
wił się licznym odcieniom barw i czystości tego
przysmaku.

— Prawda, Joasiu, że ludzie krzywdzą psz-
czoły, zabierając im miód nagromadzony z taką
pracą i trudem?

— Ale gdzież tam! Pszczoły nigdy nie zdołałyby spożytkować dla siebie tego wszystkiego, co nagromadzą. Człowiek zabiera tylko to, co jest zbyteczne i należy mu się to słusznie za opiekę, jaką nad pszczołkami rozciąga. On buduje ule, on je czyści, on też i karmi czasem pszczoły, jeżeli miodu zabraknie, on je leczy, jeżeli chorują.

Zajęci kosztowaniem miodu i rozmową nie zauważyli, że strażę pilnujące wejścia dały znak trwogi cieniutkim pischczeniem; dopiero, gdy w ulu zrobił się ruch ogromny, gdy pszczoły przelęknione zaczęły biegać, wołając: „nieprzyjaciel! nieprzyjaciel!”, spostrzegli, że jest jakieś niebezpieczeństwo.

— Co się stało? — zapytał Gucio swojej przewodniczki, cisnąc się za innymi w korytarz i widząc z daleka, że strażę potroiły się u wejścia i wycelowały swoje żądła jako broń.

— To pewnie żoźna — odpowiedziała Joasia — chodźmy bliżej, to zobaczymy.

Nieprzyjaciela nie było i nie mogło być w ulu; taki duży ptak nie zmieściłby się w żaden spo-

sób przez ciasne okienko. Toteż nie kusił się nawet o to. Obrął sobie stanowisko na pomostku, a przez otwór wsunął tylko swój długi, lepki język szukający miodu.

Cały oddział pszczoł zatopił żądła w tym języku, ale, o zgrozo! Język zabrał żądła razem z pszczołami, które ani się spostrzegły, jak je wciągnął do gardła, skąd się dostały do żołądka ptaka. Po chwili znowu język ukazał się w otworze.

Zniknięcie walecznych obrońców wznieciło niemały popłoch w reszcie mieszkańek ula. Nastąpił chwilowy odwrót z placu boju i wielka narada wojenna; ale zanim powzięto jakiegokolwiek postanowienie, rozległ się strzał, od którego aż ściany ula się zatrzęsły. Wejście do niego zostało nagle odsłonięte i coś ciężkiego spadło na ziemię.

XII. GUCIO ROZSTAJE SIĘ Z KSIĘŻNICZKĄ

Gucio, wiedziony ciekawością, wybiegł wraz z innymi przez okienko na pomost i ujrzał na ziemi ślicznego ptaka, strojnego w pierze żółta-wozielone, w pąsowy czubek na głowie i także podbrzusze, broczącego we krwi. O kilkanaście kroków dalej stał młody wieśniak w płótniance i dużym słomianym kapeluszu z dymiącą jeszcze strzelbą w ręku. Guccio domyślił się w nim pasiecznika.

Pszczoły tłumnie otoczyły dogorywającego nieprzyjaciela, który już przestał być dla nich niebezpieczny. Oglądały go, siadały mu na głowie, latały dokoła brzęcząc złośliwie i jakby usiłując mścić się za przeszkodę w pracy, zakłócenie im spokoju i pożarcie towarzyszek.

Ptak niemający już siły do obrony musiał znosić te wszystkie przykrości. Nareszcie spojrział żalonym wzrokiem na słońce, wyciągnął

się i skonał. Guciowi aż słabo się zrobiło od tego widoku.

— Za chwilę tu pewnie zjawią się grobarze — rzekł do Joasi. — Widziałem już dziś jeden pogrzeb i na drugim być nie chcę. W ulu też widziałem już wszystko, co było do widzenia, pójdę więc w dalszą drogę; podziękuj w moim imieniu królowej za jej łaskę i gościnność. Gdybym wiedział, że tutaj mogę ci się na co przydać, zostałbym chętnie, ale ty sama powiadasz, że nic ci nie zdołam pomóc.

Przekonanie, że niepotrzebny jest Joasi, przykre było Guciowi, miał bowiem w sobie немало rycerskiego zapału i gdyby mógł odegrać rolę bohatera, byłby bardzo rad.

— Widzę ze wszystkiego, że jesteś poczciwym chłopcem — odpowiedziała — ale sam rozważ, na co ty mi przydać się możesz? Nie masz koszyczków na tylnych nogach, więc mi pyłków i żywicy nosić nie pomożesz; mleczka dla królowej matki i dla małych dzieci nie umiałbyś też przyrządzać, bo jesteś inaczej zbudowany; nie masz naczynia do noszenia mio-

du jak my wszystkie. Nie masz kleszczyków, którymi mógłbyś budować komórki woskowe, zalepiać kitem żywicznym szpary i wykonywać tysiączne roboty, jakich wymaga utrzymanie porządku w ulu, jak na przykład wynoszenie nieżywych pszczół, oczyszczanie komórek, wyrzucanie śmieci. Powiedz sam, czybyś to mógł robić? Naturalnie że nie, bo nie jesteś pszczołą. Widzisz więc, że nie masz po co dla mnie tu zostawać, bo w niczym nie polepszyłbyś mego losu. Z początku bardzo płakałam i rozpaczalam, ale widząc, że to nic nie pomoże, dałam spokój. Muszę cierpieć pokutę, dopóki wróżka sama mnie od niej nie zwolni. Czy chcesz, żebym cię odprowadziła za pasiekę?

— Byłbym ci bardzo wdzięczny...

Polecieli razem przez gęstwinę lasu aż do drogi, na której widać było głębokie ślady wozów.

— Tutaj muszę się z tobą pożegnać — rzekła ze smutkiem Joasia — życzę ci, żebyś był szczęśliwszy ode mnie... to jest... żeby twoja pokuta skończyła się prędkiej.

Głos jej zadrżał i łzy rzęsiste popłynęły z oczu.

— Biedna Joasiu — rzekł Guccio wzruszony — twoja służba musi być bardzo ciężka!

— Ach! Nie o to mi idzie, wierzaj mi. Choćbym musiała dziesięć razy więcej pracować, nie czułabym się jeszcze nieszczęśliwa, bo widzę, że człowiek o tyle tylko jest coś wart, o ile jest innym użyteczny. Ale to mnie dręczy, że tak długo nie mogę przeprosić Marianny za wyrządzoną jej krzywdę. O, Boże! jakże ciężko jest żyć z grzechem na sumieniu!

Gdy to mówiła, spomiędzy drzew wysunęła się wysoka postać okryta czarnym jak noc mieniącym się iskrami płaszczem, spod którego wyglądały siwe kosmyki włosów. Twarz miała od starości pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów. Oczy patrzące przez wierzch tych okularów jaśniały nadzwyczajnym blaskiem, a takie były przenikliwe, że wzrok ich trudno było wytrzymać. W ręku trzymała złotą laseczkę.

— Wróżka! Wróżka! — zawołali oboje razem, a serca ich zbolełe i znękanie uderzyły nadzieją.

— Słyszałam twoje słowa — rzekła do Josi głosem poważnym i uroczystym — i widzę, że twój charakter uległ ważnej zmianie. Pszczoły nauczyły cię rozumu i sprawiły, że możesz powrócić do ludzi. Wracaj do matki, która tęskni za tobą, i sercem staraj się wynagrodzić krzywdę wyrządzoną przywiązaniem do ciebie sercu Marianny.

Wyciągnęła rękę i dotknęła laseczką głowy pszczołki. W tejże chwili zniknął mały skrzydlaty owad, a na jego miejscu Guccio ujrzał śliczną ośmioletnią dziewczynkę, w różowej muślinowej sukience. Jej biała, delikatna twarzyczka otoczona była ciemnymi lokami, a oczy błyszczały radością. Chciała dziękować wróżce, ale już jej nie było. Nagle krzyknęła z radości. O kilka kroków przed nią, na drodze, stał piękny otwarty powóz, a zaprzężone do niego siwe konie rwały niecierpliwie piasek kopytami. W głębi powozu siedziała kobieta średnich lat i wy-

ciągała do niej ręce z czułością. Była to księżna. Joasia zapomniała o wróżce, o czarach, o Guciu, o wszystkim; pobiegła co prędzej i wskoczyła do powozu. Stangret palnął z bata, koniki ruszyły z miejsca i po chwili z całego widowiska został tylko tuman kurzawy.

Gdy wszystko zniknęło, Guciovi serce ścisnęło się boleśnie.

— Ach, wróżko! Dobra wróżko! — wołał rozpaczliwie — wróć się, wróć i zdejm ze mnie czary, tak jak je zdjęłaś z Joasi! I ja też nauczyłem się czegoś i przysięgam, że się poprawię zaraz, natychmiast, nie odkładając już do pierwszego. Ja tak dawno nie widziałem mateczki, ojca, Helusi.... tyle wycierpiałem! O! litości, litości!

Czarna wysoka postać w płaszczu mieniącym się iskrami, jakby zmiękczone namiętnymi prośbami chłopca stanęła znowu przed nim.

— Twój czas nie nadszedł jeszcze — wyrzekła uroczyście i zniknęła, a z nią razem ostatnia nadzieja biednego pokutnika.

Łzy popłynęły mu z oczu. Długo tak stał pogrążony w boleści, nie wiedząc, w którą zwrócić się stronę; bo czy uda się w prawo, czy w lewo, wszystko jedno, zawsze będzie jednakowo nieszczęśliwy.

— Joasia jednak miała więcej męstwa ode mnie — rzekł do siebie po chwili — bo ona umiała się godzić ze swoim losem. Miałżeby⁵⁸ ja być słabszym od baby? Nie, za nic w świecie!

Obtarł oczy kosmatymi łapkami, do których się już o tyle przyzwyczał, że nie budziły w nim takiego wstrętu jak z początku, i tłumiąc łzy, podniósł oczy w niebo, jakby je brał na świadka, że pragnie być prawdziwym mężczyzną.

W lesie było gwarno i wesoło, ptaszki wyśpiewywały na wszystkie tony. Sikorki wieszały się na cieniutkich gałązkach brzeziny i huśtały, jaskółki goniły w powietrzu owady. Dzieciół przelatywał z drzewa na drzewo i opukiwał je jak doktor badający chorego, a których dźwięk

⁵⁸*miałżeby* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą *-że-*; znaczenie: czy miałbym. [przypis edytorski]

wydawał mu się podejrzany, zaraz w jego wnętrzu szukał poczwerek będących ulubionym jego przysmakiem. Wszystko było jakąś robotą zajęte i snadź nie przykrzyło jej sobie, bo krzątało się zwawo i śpiewało przy tym radośnie. Gucio, któremu odgłos tego wesela był przykry, bo nie mógł go podzielać, przeleciał ponad lasem i ujrzał przed sobą pole, drogę wysadzoną wierzbami, cmentarz rozłożony na wzgórzu, wieżę kościółka, dwór i gromadę chat wieśniaczych rozrzuconych malowniczo w dolinie. Widok ten dobrze mu był znany; znał każdą chatę i wiedział, do kogo należy, a tą drogą wierzbami wysadzoną jeździł często na spacer na swoim siwo-jabłkowitym koniku.

Wieśniak jakiś orał właśnie pole pod ozieme zasiewy; dwa piękne czerwone woły ciągnęły pług krający ziemię w równiuteńkie pasy i odkładający na bok skibę za skibą. Wieśniak pośpiewywał sobie i idąc obok pługa, raz po raz klepał woły przyjaźnie po karku. W ślad za pługiem postępowała gromada ptactwa. Najprzód na wysokich czerwonych nogach poważ-

nie kroczył bocian i swoim ostrym, długim dziobem wylawiał z ziemi gąsienice chrabąszczów, które świeżo odrzucona skiba na wierzch wyrzucała, a które przez trzy lata w tej postaci pozostając w ziemi, podgryzały korzenie roślin. Za bocianem wrony, kawki, gawrony, skowronki, pliszki całymi stadami dreptały i skakały po parującej wilgocią roli, wylawiając także gąsienice i robaki.

— Ptaszki pomagają poczciwemu Walentemu — rzekł do siebie Gucio i siadł na wysokiej grudce ziemi, przypatrując się polowaniu skrzydlatych robotników.

Ale wkrótce spostrzegł coś, co całkowicie pochłonęło jego uwagę. Z ziemi, przesiąkniętej na wskroś obficie przed dwoma godzinami padającym deszczem, wychodziły gromadki glist ziemnych i ruszały się z niepojętą zwawością, jakby zabierając się także do roboty.

Gucio widywał nieraz glisty, gdy je chłopcy wiejscy, idący z wędkami na ryby, brali z sobą na przynętę i zatykali na ostrze haczyka; ale nigdy nie przyszło mu do głowy przyjrzeć się

temu nieponętnemu stworzeniu. Teraz zobaczył ze zdziwieniem, że one nie mają ani nóg, ani oczu. Zaciekawiony, co też takie kaleki robić mogą, zaczął je bacznie śledzić. Z zajęciem przypatrywał się różowawemu, przezroczystemu ciału robaczka, składającemu się z mnóstwa obrączek kurczących się i rozciągających nieustannie bardzo zwawo. Glisty szukały liści wilgotnych, przegniłych i zręcznie je wciągały do swoich podziemnych kryjówek. Gucio nie pojmował, jak one, niemające przecież oczu, mogły wynajdywać listki. Czyżby Bóg obdarzył je jakim odrębnym, zastępującym wzrok, zmysłem pomocniczym?

Zdziwienie jego jeszcze bardziej wzrosło, gdy ujrzał glistę połykającą ziemię za pomocą maleńkiego pyszczka. Uczuł w sercu wielką litość nad robaczkami jedzącymi rzeczy tak niestrawne.

— Biedne robaczki, co wy robicie! — przemówił serdecznie — nie jedzcież ziemi, bo się wszystkie pochorujecie!

Robaczki, jak pracowały schylone z pyszczkami zanurzonymi w ziemię, tak wszystkie popodnosiły łebki i słuchały; nareszcie jeden przemówił głosem cichym, podobnym do najbliższego westchnienia wiatru.

— Tyś pewnie człowiek pokutujący w postaci owada, skoro cię to dziwi, bo wszystkie muchy wiedzą, dlaczego to robimy. Spojrzyj na ziemię, w miejsca tylko co opuszczone przez nas, i powiedz, co tam widzisz?

— Widzę ziemię w postaci małych cieniutkich sznureczków nie dłuższych od was — odpowiedział.

— Otóż widzisz: każdy taki sznureczek przeszedł przez nasze ciało i w żołądkach naszych razem z przegniłymi liśćmi przetrawiony został. Jesteś pewnie na to dość rozsądny, żeby zrozumieć, że takie ustawiczne przepychanie ziemi przez cienkie woreczki rozmiękcza ją i rozdrabnia. Tym sposobem spulchniamy i przesiewamy ziemię, przerabiamy jałową na urodzajną i uprawiamy lepiej od najlepszych narzędzi rolniczych. Przy tym wędrując ustawicz-

nie z góry na dół, ściągamy w głąb zwierzchnie warstwy, a spodnie wyrzucamy na wierzch.

— Jak to! — zawołał Guccio w najwyższym zdumieniu — więc i wy pracujecie, wy, naj-
nędzniejsze, najwięcej upośledzone od natury stworzenia, wy, kaleki, ślepcy i bez nóg?...

— Jakże chcesz, żebyśmy nie pracowały? Wszystko, co żyje na świecie, pracować musi. My jeszcze nie jesteśmy najmniejszymi robotnikami w służbie u Pana świata; są istoty tak małe, że jedno ziarnko piasku jest dla nich tym, czym dla ciebie największa góra. A i te jeszcze nie żyją bezużytecznie, ale mają swoje sprawy i swoje cele, choć wiemy, że ludzie nie zdołali jeszcze celów tych odgadnąć ni zbadać, bo małość owych istotek wymyka się ludzkiemu wzrokowi.

Guccio uczuł zawrót w głowie.

Robaczek opowiadał mu jeszcze, jak na zi-
mę zakopuje się głęboko na kilka łokci pod zie-
mię, jak wygniata tam sobie jamkę wygodną,
wybrukowawszy ją wprzód gruzem lub drob-
nymi ziarneczkami żwiru, i odpoczywa, dopóki

pierwsze odgłosy wiosny nie wezwą go do pracy. Mówił, że w polu na każdych stu łokciach kwadratowych ziemi pracuje ich do pięćdziesięciu tysięcy, a w ogrodach trzy razy więcej; że przenosząc ustawicznie ziemię z wierzchu pod spód i ze spodu na wierzch pokrywają powoli kamienie i rumowiska rozsypane po polach, a nawet wielkie głazy i budynki. Wiele jeszcze, wiele zajmujących rzeczy mówił mu robaczek o swoim życiu, ale Guccio nic z tego wszystkiego nie słyszał. W uszach dźwięczały mu ciągle te wyrazy: „Są istoty tak małe, że ziarno piasku jest dla nich tym, czym dla ciebie największa góra, a i te jeszcze nie żyją bezużytecznie...” i serce jego przejęte zostało drzeniem bojaźni wobec tej niezmiernej, niedającej się obliczyć małości, która jednakże miała wyższość nad nim...

W wędrówce swojej od dnia wczorajszego spotykał różne istoty: kreta, wróbla, słowika, muchę, grobarza, pająka, pszczołę, glistę i przy poznaniu każdej czuł się coraz mniejszy, coraz więcej upokorzony. Każde z tych stworzeń rzu-

cało mu w duszę drobny promyczek światła, ale teraz oto nędzny ten robaczek resztę bielma zdjął z jego oczu. Nagłe światło rozświeciło jego umysł: wszystko, co istniało na świecie, na co spojrzął, czego się dotknął, było użyteczne. Cała natura pracowała. Jeden wielki łańcuch łączył wszystkie stworzenia świata, a każde pojedynczo było ogniwem, bez którego łańcuch obejść się nie mógł. Każde z osobna odrabiało swoją robotę i za to miało prawo korzystania z pracy innych. On jeden, chociaż człowiek i nie kaleka, był próżniakiem nieużytecznym... Nawet obłoki, unoszące się nad ziemią, dawały jej cień i wilgoć; słońce i księżyc także nie próżnowały, bo ono rozlewało w dzień ciepło i światło, a on przyświecał w nocy. Sam Bóg, chociaż Pan świata, przez sześć dni pracował, jak powiada Pismo Święte, a siódmego dopiero odpoczął.

Upokorzony głęboko, przygnieciony ogromem siły, którą widział i czuł dokoła siebie, a która się nazywała ruchem i pracą, upadł na kolana.

— O, Boże! — zawołał, wznosząc oczy ku niebu. — Jakże jesteś wielki w dziełach Twoich i jakże jesteś nieskończenie dobry, że dotąd trzymasz mnie na tym świecie, przenikniętym na wskroś pracą wszystkich stworzeń! O, Ty! Który uczysz śpiewać ptaszki, ubierasz kwiatki i każesz ziarneczkom zboża wyrastać w kłosa, ulituj się nade mną i pozwól, abym został znowu człowiekiem. Dozwól, abym jak wszystkie Twoje stworzenia, mógł wziąć się także do pracy. Brzydzę się moim próżniactwem, chcę pracować i być użyteczny. Niech i ja też czymś będę. Pracy! Pracy daj mi, o, Boże!

— Poszukaj jej sobie sam — szepnął mu jakiś głos wewnętrzny.

Tak, Guccio czuł, że nie powinien czekać, aż mu praca w ręce wpadnie, ale sam iść na jej spotkanie. Gdyby był znowu człowiekiem, wiedziałby, do czego się wziąć, ale jak ma pracować drobna, nic nieznacząca muszka? Ach! Już wie, będzie roznosił pyłki kwiatowe jak ta mucha ciemnobrunatna, z którą dziś rano za-

warł znajomość w pałacu liliowym i która mu odkryła tajemnicę nasionek kwiatowych.

Obejrzał się: o kilkanaście kroków dalej cały łąn pokryty był pięknymi bladoróżowymi kwiatami gryki. Tam poleciał i pracował bez odpoczynku przez całe dwie godziny, jak mu się zdawało, wytrząsając pyłek z woreczków zawieszonych na pręcikach i przenosząc go na inne kwiaty, aż zmęczony, zlany potem, cały obsypany jakby żółtą mąką przestał na chwilę, żeby odpocząć i sił nowych zaczerpnąć.

XIII. GUCIO DOWIADUJE SIĘ, GDZIE JEGO MATECZKA CHODZIŁA CZĘSTO NA SPACER

Odgłos kroków w pobliżu dał się słyszeć. Obejrzał się: to siostra jego, Helusia, biegła prędko przez pole, skacząc z zagona na zagon. Miała na sobie tę samą sukienkę, w którą się była ubrała na imieniny braciszka, i ten sam biały fartuszek, który kładła na siebie, ilekroć wyręczała matkę w gospodarstwie. Płowe jej włosy,

błękitnymi na końcach przewiązane wstążkami, powiewały z wiatrem, a twarzyczka zarumieniona była od prędkiego biegu.

— Gdzie też ona idzie — pomyślał sobie Gucio — czyżby mnie szukała i przeczuwała, że tu jestem?

Serce mu mocno bić zaczęło. O, jakże on kochał tę dobrą siostrzyczkę, jak pragnął ją uściskać!

Ale Helusia nie domyślała się nawet jego obecności: przybiegła ona do wieśniaka orzącego na polu i wyjąwszy z kieszeni woreczek, wysypała mu na rękę garstkę drobnej monety, mówiąc:

— Weźcie to, mój poczciwy Walenty, i kupcie butelkę wina dla waszej matki: zobaczycie, że ją to wzmocni na siłach. Nie dziękujcie, nie, moi kochani, nie ma za co — dodała, gdy Walenty zdjąwszy czapkę obejmował panienkę za kolana. — Ja tam dziś będę u was w chacie wieczorem; schowałam dla babusi rosółu z obiadu, to go jej przyniosę.

I jakby chcąc się od dalszych podziękowań uwolnić, spiesznie uciekła.

— Nazywałem ją skąpą — myślał Guccio — a ona zbierała pieniądze na lekarstwa dla biednych, nie dla siebie. A jednak nie powiedziała mi tego wcale, kiedym jej skąpstwo wyrzucał. O! Ileż ona jest lepsza ode mnie, chociaż baba!

Tęskno mu się zrobiło, gdy zniknęła. Już rozwijał skrzydła, żeby ją dogonić, gdy na drodze prowadzącej od dworu ukazała się postać, na której widok serce Guccia zadrżało z radości. Była to jego matka. Zdawało mu się, że wieki już nie widział tej szczupłej, wysokiej postaci, pełnej godności i wdzięku, tej twarzy szlachetnej, delikatnej, otoczonej włosami ciemnoblonde, i tych oczu wielkich, szarych, tak często smutnych, które patrzyły zawsze na niego z wyrazem bezgranicznej miłości.

Pani H. bardzo zamyślona szła prosto ku wzgórzu, na którym widniała gromada małych i dużych krzyży białych i czarnych, prostych i pochylonych w różne strony.

— Mama idzie na cmentarz — szepnął Guccio do siebie, czując bolesne ścisnienie serca i jakąś niewytłumaczoną obawę.

Wzbił się w powietrze i leciał za nią, unosząc się nad jej głową.

Pani H. otworzyła furtkę i minawszy kilkanaście grobów zatrzymała się w miejscu, gdzie obok siebie leżały dwie mogiłki: jedna większa, druga mniejsza. Obie pokryte były zieloną darnią, pomiędzy którą rosły gęsto białe i różowe stokrotki. Nad mogiłami wznosił się krzyż brzoźowy, cały opleciony zwojami bluszczu, a u stóp krzyża była tablica z następującym napisem:

Janek i Zygmus H.
zmarli razem dnia... roku...
Proszą o westchnienie do Boga

Tablicę otaczał wieniec ze świeżych kwiatów. Grób utrzymany był z nadzwyczajną starannością, snadź⁵⁹ opiekowała się nim troskliwa i kochająca ręka, snadź ręka ta sama sadziła kwiaty, sama je podlewała i przyszczygała darni,

⁵⁹snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

sama oczyszczała z chwastu. Gucio wiedział już teraz, gdzie to jego mateczka chodziła tak często na spacer sama jedna, i czemu pytania ojca zbywała wymijającymi odpowiedziami. Brat może zapomnieć o siostrze, przyjaciel o przyjacielu, ale matka nigdy nie zapomni o dziecku...

Gucio znał to miejsce, bywał tam czasem z siostrą, ale jak to było jego zwyczajem, patrzył nie widząc. Więc i szczegółów, które dziś zobaczył, nie zauważył dotąd nigdy. Słyszał on nieraz od rodziców i od Helusi smutną historię śmierci swoich starszych braci, których bardzo mało pamiętał. Obaj umarli w jednym dniu po krótkiej chorobie na grasującą we wsi błonicę — a matka, która wiele czasu poświęcała leczeniu i pielęgnowaniu dzieci włościańskich i wyrzucała sobie, że może za mało będąc ostrożna, własnym dzieciom przyniosła zarazę, o mało nie przypłaciła życiem tego wypadku. Słyszał, że obaj uczyli się pilnie i wróżyli świetne nadzieje na przyszłość; a on, najmłodszy, najzdolniejszy ze wszystkich, jak o nim mówiono, nie chciał się uczyć i lenistwem swoim ra-

nił ciągle to biedne zakrwawione serce matki tak bardzo potrzebujące spokoju, zamiast pracować nad zabliznieniem jego ran, zamiast kochać matkę zdwojoną miłością, zamiast otoczyć ją troskliwymi staraniami i odsuwać od niej wszystkie troski, wszystkie zmartwienia... Helusia to robiła — a on co? Ach, gdy nad sobą się zastanawiał, zdawało mu się, że jest zbrodniarzem. Patrząc w te smutne szare oczy, poprzysiągł sobie, że nigdy już, nigdy ani jedna łza nie popłynie z nich z jego przyczyny.

Pani H. uklękła przy mogiłkach, popatrzyła na nie i łkanie gwałtowne wyrwało się z jej piersi.

— Dobrze z was były dzieci — szeptała — nie martwiliście rodziców lenistwem i wstrętem do nauki, tak jak Guccio, toteż pewnie jesteście teraz aniołkami i macie łaskę u Boga. Proście Go, proście, żeby waszego brata natchnął Duchem Świętym i sprawił, aby pokończył pracę, od której tak ucieka na nasze zmartwienie i na swoją niedolę w przyszłości. O,

moje dzieci, moje najdroższe dzieci! Boże! Boże! Czemu mi ich zabrałeś?

Gucio nie mógł dosłyszeć dalszych matki wyrazów, a może nie mogła już mówić od płaczu i łkania. Taki ból gwałtowny, taki żal ciężki nad biedną mateczką i nad sobą samym przeszył jego serce, że nie widział, jak przed nim stanęła wysoka postać w czarnym płaszczu mieniącym się iskrami i wyciągnęła ku niemu złotą laseczkę. Nie widział nic, i zapomniawszy, że jest tylko małym owadem, rzucił się do kolan matki, wołając z płaczem.

— Mateczko! mateczko! Zgrzeszyłem ciężko przed tobą, przebacz mi, przebacz!

XIV. GUCIO SIĘ PRZEBUDZA

— Guciu! Guciu! A wstawajże już, śpiochu! Od dwóch godzin szukamy cię po całym ogrodzie, a ty tu sobie spokojnie śpisz pod drzewem. Pięknie przyjmujesz gości!

— Dobry gospodarz, ani słowa! — wołali chłopcy na przemian, stając nad naszym bohaterem.

— I to jeszcze w swoje imieniny — dodał Janek. — Ale co tobie się śniło? Płakałeś przez sen. Musiało to być coś przykrego. Pewnie cię rozbójnicy napadli i prosiłeś ich, żeby ci darowali życie. No, gadajże!

Gucio otworzył oczy pełne łez i popatrzył najprzód na kolegów, a potem na siebie. O, radości! Był znowu człowiekiem! Zamiast ciemnych wzdłuż ciała obrączek miał na sobie swoje piękne niebieskie ubranie, a tuż przy nim na trawie leżał jego srebrny zegarek. A więc to wszystko, co przez dwa dni wycierpiał, to był sen tylko? Dzięki Bogu!

— Gdzie mama? — zawołał nagle, patrząc po obecnych.

— Ja chcę widzieć mamę! Mateczko! Mateczko!

— Jestem synku, jestem — zabrzmiał tuż przy nim głos słodki — szukałam cię i niepokoiłam się o ciebie, ty śpioszku niedobry!

— O, mateczko! — szepnął chłopiec, tuląc się do jej kolan — byłem bardzo złym synem, toteż Bóg mnie ukarał i zesłał mi sen straszny. Śniło mi się, żeś was wszystkich utracił, że wróżka mnie zaczarowała w muchę. O mateczko, co ja wycierpiałem! Jak tęskniłem do ciebie! Przebacz mi po raz ostatni! Będę się uczył, będę pracował, zobaczysz! Ale ty za to, mateczko kochana, nie będziesz już płakać tam, na cmentarzu... czy dobrze?

Kochające ramiona objęły syna i przytuliły do piersi, a biedny chłopiec wzruszony tą tkliwą pieśczołą płakał tak gwałtownie, tak bardzo, że aż drżał cały.

— A to co znowu! — zabrzmiał mu nad uchem tubalny głos dziadka, który, niespokojny także, przywędrował za wszystkimi na swej drewnianej nodze w towarzystwie ojca Guciowego — asan płaczesz? Wstydzę się, mości wnuku, żeby beczeć jak baba! Mężczyzna beczy, słychane rzeczy!

— Dziaduniu — odrzekł Guccio, obcierając oczy — niech się dziadunio nie gniewa, to już ostatni raz. Będę teraz prawdziwym mężczyzną, bo zacznę od jutra uczyć się tak pilnie, że z pewnością zdam za dwa lata egzamin do pierwszej klasy. Dziękuję dziadzi za przywieszenie nauczyciela, bardzo dziękuję.

Spiął się na palce⁶⁰ i wyciągnął ręce, chcąc objąć za szyję dziadka. Starzec go podniósł, przycisnął do piersi i pocałował w głowę.

— Teraz mi się podobasz, chłopcze — mówił, przesuwając ręką po jego jasnych włosach — widzę, że zaczynasz mieć rozum i że będziesz jeszcze kiedyś porządnym człowiekiem. Ale opowiedzcie nam, do kata, co ci się śniło?

— Tak, tak, niech opowie! — wołali chłopcy.

— Ale w pokoju — dodała pani H. — bo tu nad wodą zaczyna się już robić chłodno. Chodźmy, herbata już na stole.

Guccio podniósł z ziemi swój zegarek i zobaczył ze zdziwieniem, że nie więcej jak dwie

⁶⁰*spiął się na palce* — dziś: *wspiął się*. [przypis edytorski]

godziny upłynęły od czasu, jak się położył na trawie. Przyłożył go do ucha: zegarek szedł ciągle, tyk, tyk, tyk. Ostatnie blaski zachodzącego słońca było jeszcze widać, tylko na niebie ciemniało coraz bardziej i coraz gęstsze mgły unosiły się nad stawem.

Wszyscy ruszyli do domu i skoro tylko zasiedli przy stole, Gucio na ogólne żądanie opowiedzieć musiał zgromadzonym swoje senne przygody od początku aż do końca. Chłopcy słuchali z wielkim zajęciem i ustawicznie zwracali się do starszych z zapytaniami, czy też to może być prawdą, co Guciovi się śniło o ptakach i owadach? A gdy pan Czesław oświadczył, że prawda i że jak na drugi raz przyjadą odwiedzić Gucia, to im pokaże przez mikroskop przywieziony z sobą z Krakowa różne ciekawe rzeczy, jak trąbkę muchy, skrzydło pszczoły, nogę pająka — nie posiadali się z radości i obiecali prosić rodziców, żeby im pozwolili jak najprędzej przyjechać tu znowu.

Panna Anna objaśniła z kolei, że opowiadała nieraz Guciovi o owadach i zwierzętach,

ale słuchając zawsze z roztargnieniem i myśląc przez ten czas o figlach zapomniał wszystko, co słyszał. Sen przypomniawszy mu to dopiero. Bardzo to naturalne zdawało się wszystkim, bo każdy smutek usposabia człowieka poważnie i do głębszego zastanowienia się prowadzi, duszę jego skupia niejako. Przypomina mu się wówczas wiele i z tego, co go kiedyś przelotnie uderzyło. Matka zwróciła uwagę Gucia na potrzebę zastanawiania się nad sobą samym i nad otaczającymi go szczegółami, bo ze wszystkiego można wyciągnąć świadomość, która kiedyś przydać się może. Gucio pod wpływem świeżych jeszcze marzeń sennych tym lepiej słowa mateczki zrozumiał i prawdziwość ich tym serdeczniej uznał.

Dotrzymał też słowa danego matce i dziadkowi: zabrał się do nauki z zapałem i co ważniejsza, nie ostygł z tego zapału wcale. W dobrej części było to także zasługą pana Czesława, który poznawszy naturę chłopca, umiał go zachęcić do nauki i przywiązać do siebie. Gucio też pojąwszy, że nauka prowadzi do zrozumie-

nia wielu rzeczy na świecie, pragnął jak najwięcej wiedzieć.

Będąc ciągle zajęty, nie miał czasu się nudzić, wskutek czego bawił się lepiej niż dawniej w wolnych chwilach i twarz jego uderzająca dawniej jakimś nieokreślonym brakiem i dziewczęcą miękkością nabrała wyrazu męskiego. Brakuje mu wprawdzie wąsów — no, ale i to przyjdzie z czasem! Dziadek powiada, że kiedy tylko miejsce na wąsy jest, to nie ma się o co kłopotać.

Ale nie tylko słowa danego matce Gucio dotrzymał — dotrzymał także i tego, które dał we śnie wróblowi. Co dzień starannie zbiera wraz z Helusią okruszyny chleba ze stołu i rzuca je ptaszkom; a gdy zima nadejdzie, ojciec na jego prośbę każe zawiesić nade drzwiami dworu snopek zboża dla biednych zgłodniałych ptaszków. Już mu to przyobiecał.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/urbanowska-gucio-zaczarowany>

Tekst opracowany na podstawie: Zofia Urbanowska, *Gucio zaczarowany*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1989

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Kierepki. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Little Green Fly, [kaibara87@Flickr](https://www.flickr.com/photos/kaibara87/), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1001-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,
ZOFIA URBANOWSKA *Gucio zaczarowany* 181
KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę